BIBLIOTEKA
Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena zł 1.20

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

M. ŚWIETLIK — Osobisty, spółdzielczy i ogólnarodowy interes; A. DASZEWSKA — Na skalnym Podhalu; W. BORTNOWSKI — Sprawa Polski — sprawą proletariatu;I G. KAMIŃSKI — U kaliskich bibliotekarek; T. TOMKIEWICZ — Wśród stawigudzkich czytelników; P. LESZAK — Francuzi nienawidzą okupantów; B. DUDZIŃSKI — Poznajemy chińskich przyjaciół; J. MAKARUK — O radach, które sobie nie radzą; Z. WOŹNICKA — W imię straconego dzieciństwa; CZ. SCHABOWSKI — Dyrektorska wycieraczka; W. RUSTECKI — Kareta dziadka Batorego; Ł. POCHROŃ — Kobiety w Biegonicach; J. ONOPA — Ludzie jednego powiatu; Z. SOŁUBA — W interesie narodu; G. TIMOFIEJEW — Twórcze podróże; T. ATKINS — Najgorsi w klasie; R. HŁADKO — Książka przestroga; T. PAPIER — Śmierć Magdy;

Rok X

Warszawa, dnia 4 października 1953 r.

Nr 40 (426)

IGOR SIKIRYCKI

„...i wstręty, porty i pożytki jej
radbym złotem pisał."
S. F. Klonowic

Jakim Cię słowem nazwać rzeko,
Kołysko legend mego kraju,
Struno, na której nowym wiekom
Pradawne wieki pieśni grają.

W Tobie jest wszystko co najdroższe —
Krew i kość nasza, gniew i radość
I pieśń szeroka, jak Mazowsze
I gwiazda, która nocą spada.

Śpiewał dźwięczące Twoje wody
Mistrz Jan pod lipą czarnoleską,
A Ty posłuszna strofom ody
I srebrną byłaś i niebieską.

W Tobie są barwy wszystkich kwiatów.
Nad Tobą skrzydło pszczoły brzęczy.
Uczysz nas bieli i szkarłatu
Wisło — przybrana siostro tęczy.

Za nurt i brzeg Twój wiecznie młody,
Za to, żeś w biegu nieznużona,
Za każdą kroplę czystej wody,
Bądź Wisło wierszem pozdrowiona!

„Hej ty Wisło modra rzeko za lasem"...

Hej ty Wisło modra rzeko, rzeko nie wesoła.
Pustoszyła twoja fala i pola i sioła,
Tratowała chłopskie zboże, zbierała dobytek
Na nieszczęście na ubóstwo Rzeczypospolitej.

Hej ty Wisło szara rzeko, hej ty służko pańska.
Wlokłaś ziarno na swym grzbiecie w galarach do Gdańska.
Na galarze bosy bandos garbił się u wiosła
I wspominał swoją wioskę, w której głód i rozpacz.

Hej ty Wisło chmurna rzeko, rzeko frasobliwa.
Z pańskim drzewem po twej fali głodny flisak spływał.
Pieśń zawodził do księżyca, oparty o bosak,
A na grzbiecie pot mu błyskał, jak na trzcinie rosa.

Hej ty Wisło płowa rzeko, rzeko biednych ludzi.
Kto się w nurcie twym ułożył już się nie obudzi.
Na mieliźnie siwy piaskarz falom daje posłuch —
Córka mu się utopiła, rzuciła się z mostu.

Hej ty Wisło czarna rzeko, rzeko żałobnico.
Nie wypuszczą twoje fale, kogo raz pochwycą.
Pochwyciły moje serce, porwały jak kamień...
Oddaj mi je, oddaj Wisło lub na inne zamień.

„...A pod górami, pod mostami
Przebiegnie sieć zuchwałych dróg."
A. Puszkin

Jest taki kraj, gdzie wody rzek
Posłuszne są jak skrzypce.
Niejeden syn w tym kraju legł
I za nas i za Wisłę.

A jego brat na chwałę krwi
Przelanej w ciężkim boju,
Nad Wisły brzeg przytoczył dźwig
I pałac wzniósł pokoju.

Kiedy stalowy spawał szczyt
Na Wisły brzegu lewym,
Po rzece biegły srebrne skry
Tak jak po falach Newy.

Przypomniał swój ojczysty brzeg
I dzień jak wiek daleki,
Gdy z Mickiewiczem Puszkin szedł
Brzegami tamtej rzeki.

Dzień, w którym wspólnej walki myśl —
U stóp pomnika Piotra —
Ta, która łączy ludy dziś
Ręce poetów splotła.

Dziś w wolnych krajach wolny lud
Rzeki odwracać umie
I ślepy żywioł groźnych wód
Zamieniać w światła strumień.

„Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi".
J. Kochanowski

Obłaskawimy ciebie, Wisło!
Twój prąd skłócony zawsze z lądem
Zabłyśnie światłem, mocnym prądem,
Stanie się jasną smugą —
Iskrą!

Światło popłynie przewodami,
Aby w kopalniach mrok przenikać,
Gdy lampkę ujmie dłoń górnika,
Ujmie dojrzałą różę blasku
Wyhodowaną w dniach pokoju —
A korzeń róży w nurcie twoim.

Obłaskawioną błyskawicą
Spłyniesz do fabryk, hut i tkalni,
Rozpędzisz walce, tryby, osie,
I tam na zawsze się rozgościsz.
Staniesz się młodą przodownicą
Co przy milionach czuwa krosien
Z przodownicami z krwi i kości.

I odtąd wiry twego nurtu
Będą wir wrzecion przypominać...
I odtąd barwy twojej fali
Będą przewijać się w tkaninach.

A kiedy do twych nowych brzegów
Z połowu wrócą ciężkie łodzie
I noc zagrodzi drogę tratwom,
Pokonasz noc, bo w twojej wodzie
Drzemie od wieków nasze światło.

Posłuszna rękom brygadzisty
Wzniesie turbina spod zapory
Kołczany pełne strzał świetlistych
Jak zatopione gwiazdozbiory
I porozwiesza na latarniach.

Widzę jak jasność mrok odgarnia...
Widzę te światła, już są blisko —
Dłoń robotnika je rozniecł...
A wtedy matka nad kołyską
Szepnie do dziecka: Wisła świeci!

...*Co przyniesie ujarzmienie Wisły i jej dopływów? Przyniesie całkowitą likwidację niebezpieczeństwa powodzi grożącej co roku około 700 tysiącom ha gruntów ornych i łąk w dorzeczu Wisły i udostępnienie rzeki dla barek o pojemności do 1000 ton (ładunek pociągu złożonego z 50 wielkich wagonów towarowych) na całej jej długości od Śląska do Gdańska. Da od 5 do 8 miliardów kWh energii elektrycznej, to znaczy ilość energii która zastąpić może pracę roczną około 9 milionów ludzi. Umożliwi nawodnienie dla potrzeb rolnictwa ok. 220 tysięcy ha gruntów ornych, łąk i pastwisk w dolinach Wisły i jej dopływów i Noteci...*

...Za pośrednictwem ujarzmionej Wisły i jej dopływów niemal trzy czwarte naszego kraju będzie zaopatrywane w węgiel śląski, w żelazo i stal Nowej Huty, w rudy kieleckie, w cement z nadwiślańskich cementowni, w budulec z kamieniołomów Kielecczyzny w pszenicę sandomierską i lubelską, w maszyny z Warszawskiego Okręgu Przemysłowego, w produkty hodowlane Żuław, w owoce Powiśla, w przetwory przemysłu rolnego okręgu bydgoskiego itp...

Stanisław Cieślak

(„O większy udział chłopów w planie 6-letnim")

MARIAN SAWULA

WZYWAM DO PODNIESIENIA WYDAJNOŚCI

(List do chłopów z moich rodzinnych Niegosławic)

Piszę do Was list w przekonaniu, że takie listy do rodzinnej wsi powinni pisywać wszyscy, którzy ją opuścili idąc do pracy w fabrykach lub do średnich i wyższych szkół.

Wy dobrze o tym wiecie, że w Polsce Ludowej ludzie opuszczający swoją gromadę nie idą na gorsze i nie idą na niepewne.

Ziemi na zachodnim piastowskim szlaku nie brakuje dla tych, którzy ruszyli na osiedlenie. Pracę na wielkich budowach przemysłowych i w fabrykach odczuwamy dziś na wsi, jako honor i awans dla chłopa. A droga do nauki, szeroko wreszcie otwarta, to przecież spełnienie się najskrytszych, wiekowych marzeń chłopskich!

Cóż więc mogą pisać ci, co wyszli z rodzinnej wsi? O swoim losie przekażą Wam zawsze wiadomości pomyślne i ciekawe. Będzie tam mowa o tym, jak się dorabiają, jak odginają kark, czego już się nauczyli jeszcze nauczą, jakie mają osiągnięcia w pracy, jakie odznaczenia, jakie wokół nich dokonują się wielkie przemiany. Gdyby więc tylko o sobie pisali, to policzcie. Z Niegosławic po wyzwoleniu wyszło około 100 osób na inne ziemie, czy do prac pozarolniczych, a 36 do szkół średnich i wyższych. Niech by każdy z nich przysłał na rok tylko jeden list, byłoby ich około 140, czyli w w każdym tygodniu na zebraniu gromadzkim można by odczytać 3 listy.

Powiedzcie tak z ręką na sercu, jakie to poczucie ugruntowałoby się w Was pod wpływem pomyślnych wieści z tygodnia na tydzień, napływających do krajanów z różnych stron? Czy nie poczucie *pewności*, że rozwój naszego życia ogarnął cały kraj? Czy nie poczucie *jedności* z życiem Waszych krajanów, z życiem miast, fabryk, uczelni i okolic, gdzie oni przebywają i rozsławiają Niegosławice swą pracą i osiągnięciami?

Otóż to — listy do krajanów uprzytomniłyby Wam, że nasza wieś — to nie *wyspa ukryta* ani też *wyspa izolowana* od reszty kraju.

Pewność jutra, jaką mają Wasi bracia w różnych stronach kraju — to umocnienie pewności Waszego jutra w Niegosławicach. A jedność z rozwojem nowego życia narodu, jaką odczuwacie pod wpływem treści ich listów — ukazują Wam, jak wiele wyście już zdziałali w Niegosławicach, ileście już ciosów zadali zacofaniu i wrogowi, ileście już zyskali dzięki władzy klasy robotniczej w sojuszu z chłopstwem pracującym.

Najważniejsze jednak byłoby tu jeszcze nie to. Najważniejsze — to *patrzyć w przyszłość*. I jedność widzieć *w rozwoju*, w tym co należałoby i co można zrobić u nas w Niegosławicach, aby krajanie od Was również czerpali otuchę i w waszych czynach widzieli jedność z ich życiem, walką i pracą.

*

Znacie mnie. Jestem jednym z tych 36, którzy poszli do szkół wyższych z Niegosławic. Wiecie jak to było w Polsce przedwrześniowej. Syn najzamożniejszego u nas gospodarza nie dokończył studiów, zadusiła go gruźlica. Drugi — syn średniaka — ukończył seminarium nauczycielskie kosztem zagłodzenia całej rodziny i na koniec wrócił do ojców, jako bezrobotny. Dziś jest nauczycielem w pełnoklasowej szkole w Niegosławicach. Przed wojną w czteroklasówce nie było dla niego miejsca. Mówię o Józefie Siwcu.

Jakaż nas dzieli przepaść od tamtych lat, tak jeszcze niedalekich! Dwuhektarowy Walczak ma dziś na studiach dwóch synów. Ja jestem w Poznaniu na Wyższej Szkole Rolniczej. Nie będę w tym liście pisał wprost o mojej nauce i osiągnięciach. Dowiecie się i ocenicie ją poprzez to, co Wam *powiem o Waszej gospodarce w Niegosławicach*. Bo i to powinniście wziąć pod uwagę, że krajanie w listach pisać mogą nie tylko o sobie, ale również o Was: *pytać Was, radzić, oceniać i krytykować*. I takich listów powinniście sobie życzyć jak najwięcej.

*

Zgodnie z programem i charakterem studiów na naszej Uczelni Rolniczej, często bywam na wsiach poznańskich. Za każdym razem przypominam sobie Niegosławice i porównuję. Oto w powiecie Środa gromada Łękno — Wielkopol strukturę społeczną ma podobną do naszej w Niegosławicach, głębę nieporównanie gorszą, a zbiory — o 2—3 q większe z ha od przeciętnych w Niegosławicach. Pytają mnie: — A z jakich wy stron? Mówię — z jędrzejowskiego powiatu, z Niegosławic. A jakie tam zbiory?

— O jakże mi trudno wówczas odpowiedzieć! Bo sami zważcie. Powiat jędrzejowski należy do czołowych w woj. kieleckim; gmina Nawarzyca do przodujących w jędrzejowskim, wprowadzono tu uprawę (nieznanego przed wojną) rzepaku na 72 ha, obszar uprawy buraka rozszerzono 4-krotnie, tytoniu — dwukrotnie; jest już pięć spółdzielni produkcyjnych. W samych Niegosławicach połowa ziemi ornej — to I i II klasa, urodzajne rędziny, miejscami przechodzące w żyzny less — a zbiory niższe o 2—3 q w porównaniu z takim Łęknem o spiaszczonej glebie i hodowla mniejsza w Niegosławicach.

Spróbujcie wczuć się w moje myśli i przeżycia, kiedy znajduję się na poznańskiej wsi w obstrzale takich wypytanek! Cóż ja wówczas myślę? Że moje ukochane, rodzinne strony mogłyby na łeb pobić wyniki takiego Łękna. Na naszej wspaniałej glebie cudów można dokonać. *Leżą tu odłogiem złotodajne rezerwy*. Leżą, bo moja gromada nie podnosi kultury rolnej w należytej proporcji do żyzności gleby. Bo w mojej gromadzie nie rozwinęła się jeszcze powszechnie *odpowiedzialność* za ziemię, która jest ziemią nie tylko rodziny ale *ziemią ojczystą*, ziemią wolnego nareszcie narodu, ziemią nie panów, nie wyzyskiwaczy i marnotrawców ale pracujących chłopów, po raz pierwszy w historii Polski — *współgospodarzy państwa*.

*

Przystąpmy więc do obrachunku — najpierw Waszych osiągnięć rolnych w Niegosławicach. Na 177 gospodarstw 100 jest małorolnych, około 70 — średniackich. Czy przed wojną co najmniej 60 małorolnych nie podlegało stałemu wyzyskowi i zależności od kilku kułaków w powszechnym systemie odrobek za wypożyczenie najprostszych nieraz narzędzi, nie mówiąc już o koniu? Czyż mało było Dudałów i Leśniewskich, którzy musieli zadłużone i upadające gospodarstwa sprzedawać? Czyż w pobliskich Sendowicach nie dochodziło do otwartych bitew klasowych między zrozpaczoną biedotą a rozpanoszonym kułactwem? Czyż przed wojną nie siano prawie powszechnie w naszej wsi ręką? Czy pszenicy nie wysiewano nawet „pod skibę", przeorywując ją płytko wraz z obornikiem?

Powiecie: to już nie tamte czasy; tamte przeminęły bezpowrotnie. Cóżeście jeszcze zatem osiągnęli w nowych czasach? Zmieniła się struktura zasiewów dzięki kontraktacji. Ponad 8 proc. użytków rolnych znajduje się pod uprawą roślin przemysłowych, nieznanych przed wojną w Niegosławicach, jak rzepak, len włóknisty, kapusta abisyńska, mięta. O 6 proc. wzrosła powierzchnia pól pszenicy i jęczmienia kosztem żyta i ziemniaków, trzykrotnie — buraka cukrowego. Na pszenicę i buraki przed wojną cena była niepewna, każdy urodzaj bił w łeb chłopa, który, tracąc na rynku, cofał się z uprawy.

Podnieśliście wydajność z ha średnio około 2 q. Owiec nie hodowaliście przed wojną wcale. Teraz 2—4 owce w każdej zagrodzie. W ostatnim roku (1952-1953) stan pogłowia bydła powiększył się o 30 sztuk, trzody chlewnej o 50 (nie licząc sztuk w odstawach obowiązkowych).

Czy to jest dużo, czy mało? W porównaniu z „tamtymi czasami" — dużo. W porównaniu z *nowym czasem* — jeszcze mało!

Pogadajmy szczerze:

Od 1919 r. do 1939 zaledwie 2 gospodarzy wybudowało sobie domy mieszkalne z obórkami i chlewikami, a kilku postawiło nowe stodoły. Po wojnie wybudowano w naszej wsi 12 domów mieszkalnych, 24 gospodarzy postawiło nowe, duże stodoły, 5 chlewni i obory, 1 wzorowy kurnik i szopę. Dobrze rozumiecie, że pierwszy okres, skierowany na rozwój bazy przemysłowej — dźwigni rozwoju gospodarczego całego kraju, to jeszcze nie czas na budownictwo na wsi. A mimo to... rachujcie i porównujcie. Rachujcie budowy o znaczeniu społecznym: porządny most na rzece dzielącej nasze pola; mostek na rowie melioracyjnym: nową szkołę; przebudowaną remizę strażacką: będącą w toku budowy bitą drogę przez wieś. Rachujcie — elektryfikację. Światło w domach i obejściu gospodarskim. Stałe kino. Rozpoczęta radiofonizacja. U dziesięciu gospodarzy już są wielolampowe odbiorniki, w szkole i świetlicy — radio. Gazety i książki w domach, 36 osób z młodzieży kształcącej się w wyższych szkołach...

Oto wkład państwa ludowego w naszą wieś. Jakiego rodzaju to wkład? Ja bym go nazwał *bronią i narzędziem*, włożonymi w Wasze ręce, abyście mogli więcej osiągnąć. Ja bym go nazwał *strumieniem światła*, przy pomocy którego mozecie spłukać wszelką ciemnotę i gnuśność.

Dane więc zostały Niegosławicom warunki, broń i nauka, aby rozwinęły się na miarę *naszych, ludowych czasów*.

*

A teraz o Waszych niedomaganiach.

Któż z Was nie życzyłby sobie wysokich zbiorów zboża? Wszyscy. Ale prawie połowa gospodarzy nie wykonuje w Niegosławicach *podorywek*, co powoduje zachwaszczenie i wysychanie gleby. Prawie połowa chłopów nie stosuje w *terminie* wczesnych orek pod żyto, przez co dopuszczają do „*osiadania*" gleby w czasie wschodów i do osłabienia lub niszczenia roślin. Ilu w spóźnionym terminie zabiega o *wał Cambela*, który by utraconą szansę wyrównał?

Prawie zupełnie zaniedbujecie tak ważny zabieg agrotechniczny, jakim jest *wiosenne włókowanie*. Za wolno i za słabo podnosicie hodowlę bydła, a z nią wzrosłaby ilość *obornika*. Jak przeprowadzacie *orkę zimową*? Rozumiecie i doceniacie w rozmowach jej znaczenie. A w praktyce? Tacy jak Kałziński, Kilian, Kalisz, Połczyński a z nimi prawie połowa chłopów w gromadzie, którzy mają jednego konia lub dwa, ale słabsze, na opornych rędzinach niegosławickich stosuje orkę zimową *za płytko*, a w mniej sprzyjających warunkach jesiennych w ogóle zaniedbuje. Potrzebny Wam traktor. Nie chodziliście do POM-u ale teraz, kiedy traktor sam zawitał i kraje pola nowozałożonej spółdzielni, powinniście zawrzeć umowę z POM-em.

Jaki jest wynik niestosowania wymienionych tu metod? A taki, że u przodującego rolnika Sokoła pszenica — ostka (nowo wprowadzona i ponoć „nie stosowana dla naszej rędziny") wydała 26 q z hektara, a u jego sąsiada, Łochowskiego na tej samej glebie — 13 q.

Któż z Was nie życzyłby sobie w oborze kilku krów mlecznych? Wszyscy. Ale — 30 ha łąk i 8 ha pastwisk — to mała baza paszowa. A jeszcze mniejsza, skoro łąki nie są uprawiane, nawożone i pielęgnowane. Czy Walczycie o rozszerzenie bazy paszowej? Przecież zaledwie kilku chłopów sieje *poplony*,

(Dokończenie na str. 2)

ZBIGNIEW SOŁUBA

W INTERESIE NARODU

Ogół społeczeństwa naszego kraju, całe po polsku myślące duchowieństwo, wszyscy, którzy pod sztandarami Frontu Narodowego zespalają swe twórcze siły w pracy dla dobra ojczyzny — pragną normalizacji stosunków między Państwem i Kościołem. Toteż treść ogłoszonych przed kilku dniami oświadczeń Rządu i deklaracji Episkopatu przyjęta została przez polską opinię publiczną ze zrozumieniem i uznaniem.

Społeczeństwo nasze, rzesze wierzących i duchowieństwa, z niepokojem obserwowały poczynania reakcyjnych elementów hierarchii kościelnej, niejednokrotnie ostrzeganych przez władzę ludową przed nadużywaniem swych stanowisk dla celów wrogich narodowi. Zwłaszcza w obliczu wściekłej nagonki śmiertelnych wrogów Polski na nienaruszalność granic Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, społeczeństwo nasze oczekiwało opamiętania się ze strony arcybiskupa Wyszyńskiego. Tymczasem nie tylko nie uczynił on tego, lecz akt Porozumienia usiłował przekształcić w parawan dla rozwijania akcji, która stanowiła faktyczną pomoc dla neohitlerowskich rewizjonistów.

„Kościół katolicki — czytamy w akcie Porozumienia między Kościołem i Państwem — potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia, i będzie piętnował i karał konsekwencjami kanonicznymi duchownych winnych udziału w jakiejkolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej".

Mimo tego zobowiązania, arcybiskup Wyszyński nie napiętnował szeregu zdemaskowanych zbrodniarzy, którzy szatę duchowną wykorzystywali do brudnej szpiegowskiej roboty, którzy uczestniczyli w bratobójczych mordach. Nie ozwał się głos potępienia z jego strony gdy, znany ze swej prohitlerowskiej postawy w okresie okupacji, biskup Adamski wystąpił w październiku roku ubiegłego z dywersyjną akcją na Śląsku, aby wbić klin niezgody między wierzących a niewierzących. I wówczas, gdy proces Lelity odsłonił przed opinią publiczną w całej ohydzie klimat sprzyjający zbrodni w Kurii krakowskiej, kierownictwo Episkopatu zdobyło się tylko na ogólnikowe oświadczenie. Nie potępiono w nim szpiegów w duchownych szatach, nie było nawet zapowiedzi kary kościelnej na nich.

Nawet wobec zbrodni ujawnionych na procesie Kaczmarka, arcybiskup Wyszyński ani jednym słowem nie potępił przestępców, a swoją postawą podsycał szkalującą ustrój ludowy akcję, prowadzoną przez wrogie radiostacje.

Sabotowanie i łamanie przez arcybiskupa Wyszyńskiego zasad Porozumienia w stosunku do sprawy stabilizacji administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych, nie mogło nie wywołać oburzenia ogółu wierzących. Takie bowiem stanowisko służyło interesom hakatystów w fioletach — rewizjonistom neohitlerowskim w rodzaju znanego polakożercy kardynała Fringsa.

W tych warunkach postawa dotychczasowego kierownika Episkopatu stanowiła zaporę dla normalizacji stosunków między Państwem i Kościołem. Stąd wypływa decyzja Prezydium Rządu, które zgodnie ze swymi uprawnieniami zakazało ks. Wyszyńskiemu pełnienia funkcji związanych z dotychczasowymi jego stanowiskami kościelnymi.

Deklaracja Episkopatu, w której odgradza się on od zgubnej linii dotychczasowego swego kierownika — społeczeństwo nasze chce przyjąć jako gotowość pełnego i lojalnego wykonywania zobowiązań, wynikających z Porozumienia.

Oświadczenie Rządu w związku z deklaracją Episkopatu wynika z konsekwentnego stosunku władzy ludowej do spraw kultu religijnego i wiary, do wolności sumienia. Każdy w Polsce wie, iż Państwo Ludowe zapewnia obywatelom wolność sumienia i wyznania, a Kościołowi swobodne wypełnianie funkcji religijnych. Poręcza to najwyższe prawo narodu polskiego — Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Potwierdzają to zresztą fakty.

Rząd nasz świadczy na budowę i odbudowę kościołów. Na budownictwo świątyń przeznaczane są pozycje w państwowym planie inwestycyjnym. Tylko na kościoły warszawskie Naczelna Rada Odbudowy Warszawy wydatkowała w 1952 r. 2.710.000 złotych, a w roku bieżącym — *1.900.000 złotych*. Wyrazem troski o świątynie jest opieka konserwatorska Ministerstwa Kultury i Sztuki, którą objęto 4.341 kościołów. Widomym stosunkiem Państwa Ludowego do spraw kultu religijnego są otwarte, rozbrzmiewające śpiewami i grą organów kościoły we wszystkich zakątkach kraju.

A spójrzmy na wystawy księgarń i sklepów z dewocjonaliami. Ukazują się tam coraz nowe pozycje z dziedziny historii Kościoła i nauk teologicznych oraz historie biblijne, i katechetyczne podręczniki szkolne.

Rodzice mają swobodę wychowywania dzieci w wierze katolickiej, w prowadzonych przez siostry zakonne przedszkolach i domach dziecka. Na uniwersytetach kraju działają wydziały teologii, a w Lublinie rozwija swą pracę naukową Katolicki Uniwersytet Lubelski.

O tym wiedzą i pamiętają rzesze wierzących. Wiedzą również o tym, że normalizacja stosunków pomiędzy Kościołem i Państwem przyczyni się do zespolenia naszego narodu. I dlatego złudne są rachuby wrogów Polski. Mylą się rycerze obozu wojny jeśli liczą na to, iż przy pomocy swych zamaskowanych agentów uda się im podważyć jedność narodu, skupionego wokół rządu ludowego pod patriotycznymi sztandarami walki o pokój i o rozkwit naszej Ojczyzny.

PAWEŁ LESZAK

FRANCUZI NIENAWIDZĄ OKUPANTÓW

LATEM 1944 roku, kiedy armia amerykańska, postępując za cofającymi się oddziałami Wehrmachtu, wyzwalała spod okupacji hitlerowskiej miasta i wsie Francji miejscowa ludność witała ją wszędzie z serdeczną radością. Oswobodzicieli obrzucano kwiatami, obejmowano ich i całowano Dając wyraz swym uczuciom wdzięczności, prości ludzie przyjmowali przybyszów w swych domach, odstępowali im najlepsze pokoje i obdarzali różnymi prezentami.

Jankesi zareagowali jednak w dziwny sposób na okazaną im gościnność. Dowództwo amerykańskie chroniło przestępców wojennych przed gniewem ludu. Kwatery wojsk USA stały się punktem zbornym dla wszelakich kolaboracjonistów i szumowin faszystowskich. Oficerowie i żołnierze tych wojsk zaczęli gorliwie przenosić tradycje chicagowskie na teren Europy Zachodniej. Spekulowali na czarnym rynku, dokonywali napadów rabunkowych na spokojnych mieszkańców, urządzali co wieczór orgie pijaństwa i prowokowali bijatyki w barach. Co więcej, odnosząc się z pogardą do miejscowych mieszkańców poniżali ich na każdym kroku i deptali ich godność ludzką.

Takie wyczyny umundurowanych propagatorów „amerykańskiego stylu życia" miały ten skutek, że ludność Francji zaczęła stronić od nich i traktować ich z rosnącą nieufnością. Na szczęście Amerykanie wkrótce po skończonej wojnie wrócili do swego kraju. Miliony Francuzów odetchnęły z ulgą i niedwuznacznie życzyły im szczęśliwej podróży.

Niestety, radość Francuzów była krótkotrwała. Amerykanie niebawem wrócili bądź jako „turyści", bądź jako jawni wysłannicy rządu waszyngtońskiego. Nie licząc się z wolą narodu francuskiego, nieproszeni goście zaczęli odgrywać rolę natrętnych opiekunów państwa, które od wieków prowadziło samodzielny byt. W 1947 roku opiekunowie postanowili obdarzyć Francję i inne kraje zachodnio-europejskie tzw. „pomocą gospodarczą". Wyszło wkrótce na jaw, że pozujący nieraz na filantropa wuj Sam jest po prostu chytrym szarlatanem. Zamiast sprzętu przemysłowego i maszyn rolniczych, mogących podnieść gospodarkę Francji na wyższy poziom, sprzedał on temu krajowi takie artykuły, jak żywność, papierosy i wyroby włókiennicze, których było tam pod dostatkiem.

Sprytni businessmani zacierali ręce z radości, że nareszcie udało im się pozbyć wielu leżących na składzie towarów, na których nie sposób było znaleźć nabywców w USA. Ale masy ludowe Francji ze zdumieniem spoglądały na fatalne dla nich skutki szumnie reklamowanej „pomocy". Gdy wyroby amerykańskie zaczęły zapełniać półki w sklepach, wiele towarów rodzimej produkcji zostało pozbawionych swego tradycyjnego, wewnętrznego rynku zbytu. W rezultacie, fabryki zaczęły zamykać się jedna po drugiej. Na wsi francuskiej zaś, która z braku rąk roboczych musiała zawsze sprowadzać z zagranicy setki tysięcy robotników rolnych, pojawił się milion „zbędnych ludzi".

Nie poprzestając na tym, samozwańczy opiekunowie usiłowali wmówić narodowi francuskiemu, że obóz pokoju i socjalizmu zagraża rzekomo jego bezpieczeństwu. Zalecili zatem powrót wojsk USA. Reakcyjni politycy i publicyści francuscy, hojnie opłacani przez monopole amerykańskie, kiwali poważnie głowami i zapraszali dolarowych żołdaków, by wracali z powrotem na gościnną ziemię Francji. I wbrew głośnym protestom wzburzonej opinii publicznej, do portów francuskich zaczęły przybywać transporty umundurowanych supermanów.

Żołnierzy amerykańskich spotyka się dziś niemal we wszystkich zakątkach Francji. W miastach garnizonowych obce wojska zajęły liczne koszary. Niektóre okręgi kraju przekształciły się dosłownie w pola ćwiczeń wojsk USA. Tak np. w jednej tylko prowincji Picardie buduje się obecnie 80 lotnisk dla samolotów wojskowych Stanów Zjednoczonych. Niektóre z nich zajmują po 600 i więcej hektarów. W wielu wypadkach konfiskuje się ziemię chłopską na terenach przeznaczonych dla tych lotnisk.

Francja cierpi wskutek strasznego kryzysu mieszkaniowego. Lwia część zniszczonych podczas ostatniej wojny domów nie została dotychczas odbudowana. W wielu miastach, jak Rouen, Havre, Caen i innych, spory odsetek ludności gnieździ się już od 9 lat w piwnicach ruin, w norach i nie ogrzewanych barakach. Przebywające we Francji wojska zaoceaniczne nie odczuwają jednak braku mieszkań. Dla nich zarezerwowano najpiękniejsze i najwygodniejsze hotele. Dla użytku oficerów amerykańskich i ich rodzin oddano też znaczną część luksusowych hoteli i pensjonatów w głównych letniskach i uzdrowiskach kraju. A tam gdzie nie ma takich wygodnych pomieszczeń, buduje się specjalne komfortowe wille dla Amerykanów.

Obcy okupanci korzystają i pod wieloma innymi względami z uprzywilejowanej sytuacji. W miejscach dużych skupisk wojsk USA każdy pociąg ma parę wagonów drugiej klasy, dostępnych wyłącznie dla okupantów. Jeżdżą oni sobie luźno i wygodnie, podczas gdy w pozostałych wagonach Francuzi — cywile jak i wojskowi — stłoczeni są, jak śledzie w beczce.

Słynne kąpielisko Cannes nad Morzem Śródziemnym wygląda dziś, jak okupowane miasto. W pobliżu brzegu kołysze się tam stale tuzin krążowników i torpedowców o gwiaździstych flagach. Lufy dział okrętowych skierowane są na miejscową plażę. W dzielnicy handlowej Cannes spotkasz na każdym kroku napisy, szyldy i transparenty w języku angielskim. Podpici marynarze - Jankesi włóczą się tam wciąż w towarzystwie prostytutek, zaczepiając przechodniów i zabawiając się strzelaniną. A gdy nadchodzi dzień święta amerykańskiego, sztandary narodowe USA powiewają z francuskich gmachów publicznych zarówno w Cannes, jak i w innych miejscowościach, gdzie skoncentrowane są wojska Wall Street.

Pochód ludowy w Paryżu. Przebranego za amerykańskiego żołnierza uczestnika pochodu — zebrani na ulicach mieszkańcy powitali śmiechem,

Zagraniczni goście nudzą się często. Dla rozrywki organizują więc różnego rodzaju awanturnicze hece, urozmaicone czasami użyciem broni. Żołnierze niczym gangsterzy często przeprowadzają zmotoryzowane najazdy na okoliczne sady, ogałacając je z owoców. Tu i ówdzie oficer amerykański zajeżdża ze swą żoną lub kochanką do jakiejkolwiek zagrody chłopskiej, gdzie bez pozwolenia wybiera sobie najpiękniejsze okazy warzyw, odnosząc je do swego samochodu. W wypadku protestu ze strony pokrzywdzonego gospodarza, oficer wymyśla rolnikowi od gburów i grozi mu zazwyczaj rewolwerem.

Wszystko to wywołuje ogromne oburzenie francuskich mas ludowych. We wszystkich zakątkach Francji rozlega się dziś podchwytywane przez miliony patriotów hasło „U.S. go home" — Amerykanie, wracajcie do domu! Powszechne to hasło, powtarzane przez ludzi o różnych poglądach politycznych, znajduje odbicie również w prasie. Wiele gazet demokratycznych zaprowadziło specjalną rubrykę „US go home", dającą informacje o nadużyciach armii okupacyjnej i o walce ludu przeciwko niej. Najlepiej zadokumentowana jest tego rodzaju rubryka w dzienniku „Humanité" — centralnym organie Komunistycznej Partii Francji. Rubryka ta, opierająca się na materiałach nadsyłanych przez korespondentów z całego kraju, ma — jako nagłówek — rysunek, przedstawiający symbolizującą naród francuski Mariannę, piszącą na murze „go home".

Rubryka w „Humanité" daje obraz wzrastającego i przybierającego różnorodne formy oporu ludu przeciw okupacji amerykańskiej. Mury koszar i mieszkań Amerykanów, szosy i chodniki w ich pobliżu pokrywają się wciąż wielkimi napisami, wyrażającymi wolę narodu francuskiego, by okupanci wynieśli się precz. Gdy jeżdżący w wojskowym aucie zaborcy opuszczają na ulicy na kilka minut wóz, po powrocie stwierdzają, że wymalowany na samochodzie napis „US Army" zamienił się w „US go home".

Po całym kraju krążą anegdoty o przykrych dla Amerykanów incydentach. W wielu miejscowościach zaoceaniczni smakosze, wybierający się do cudzych sadów po owoce, atakowani przez psy, musieli ratować się ucieczką w postrzępionych spodniach. Na drogach wokół swych skupisk Amerykanie znajdują mnóstwo gwoździ i kawałków szkła. To sprawia, że opony samochodów okupantów raz po raz pękają co doprowadza supermanów do bezradnej wściekłości.

Na paryskim przedmieściu Suresnes kierowana przez bogatą Amerykankę limuzyna przewróciła raz na ulicy opierający się o chodnik rower robotnika. Dziesiątki gospodyń, które stały wówczas w kolejce przed pobliską piekarnią, urządziły turystce szumną demonstrację, krzycząc hurmem „U.S. go home". Purpurowa ze złości przedstawicielka dolarowego mocarstwa szybko opuściła to miejsce.

Obok spontanicznych wyrazów protestu, przeciw okupantom, wzmaga się również zorganizowana akcja mas ludowych. W prowincji Picardie w wielu miejscowościach powstały kierowane przez lokalnych burmistrzów „Komitety Obrony Przed Okupacją", łączące w swym gronie szeroki wachlarz opinii publicznej. W mieście Noveant, departamentu Moselle, uczestnicy pochodu z okazji francuskiego święta narodowego 14 lipca, nie chcieli ruszyć z miejsca, póki sztandar USA nie zostanie zdjęty z gmachu magistratu. W obliczu groźby demonstrantów, że zerwą i zapalą flagę amerykańską, reakcyjne władze musiały ją usunąć.

Na demonstracjach robotniczych w dużych miastach często paradują kukły okupantów, które są po całej drodze ośmieszane przez patriotów francuskich, nienawidzących amerykańskich zaborców. Na wielu zebraniach robotniczych i chłopskich uchwala się często rezolucje przeciw okupacji formalnie nie zawisłej Francji.

Walka przeciw przekształcaniu Francji w kolonię USA jest częścią walki narodu francuskiego o wolność, o pokój, o niepodległość narodową.

✣

Przez długi czas szerzono u nas legendę, że Ameryka jest swego rodzaju filantropem, który rzekomo poświęca się miłości bliźniego i czyni wciąż przysługi ludom. Wilson, Hoover i inni zachłanni imperialiści przybierali w legendach tych postacie jakichś apostołów i dobroczyńców ludzkości.

Naród francuski i narody innych krajów Europy Zachodniej przekonywają się teraz na własnym smutnym doświadczeniu, jak dalekie są te legendy od rzeczywistości. Przez owczą skórę narody te ujrzały wilka. Atak Waszyngtonu na suwerenne prawa narodów, oraz wyczyny stacjonujących w Europie Zachodniej żołnierzy amerykańskich otwierają oczy milionom ludzi. Nawet ci, którzy do niedawna sami wierzyli w rzekomą dobroczynność polityki zagranicznej kraju dolara, widzą teraz jaką groźbę imperializm amerykański przedstawia dla ich wolności i szczęścia, dla pokoju w świecie.

Toteż we wszystkich krańcach Europy Zachodniej rozlega się dziś okrzyk „U.S. go home" — wynoście się precz, Amerykanie, i zostawcie nas w spokoju. **Paweł Leszak**

LOUIS ARAGON

tłumaczył Roman Kołoniecki

POETA — SWOJEJ PARTII

Partia mi przywróciła i pamięć i wzrok
Nie wiedziałem — co nawet dziecku już wiadomo —
Że mam serce Francuza i krew tak czerwoną
To tylkom wiedział noc jest mroczna jak sam mrok
Partia mi przywróciła i pamięć i wzrok

Partia mi przywróciła epopei zmysł
Widzę ot Roland w róg dmie ot Joanna przędzie
Wiem że czas nasz znów erą bohaterstwa będzie
Najprostsze słowa są jak mieczy szczęk i błysk
Partia mi przywróciła epopei zmysł

Partia fladze francuskiej przywróciła blask
Partio za twe nauki dzięki ci o dzięki
Od tamtej pory w rymach każdej mej piosenki
Dźwięczy miłość ból radość gniew każdego z nas
Partia fladze francuskiej przywróciła blask

TOMASZ ATKINS

Sprawy międzynarodowe

Najgorsi w klasie

Matematyka i geografia to przedmioty, które obowiązują w każdej szkole, nawet w najniższych klasach. Także w szkołach amerykańskich. I z pewnością ludzie, którzy dziś kierują polityką Stanów Zjednoczonych, kiedyś za młodu uczyli się zarówno matematyki jak i geografii. Ale sęk w tym, że nauczyli się niewiele.

Bo oto na bieżącej sesji ONZ dzieją się rzeczy, które byłyby zabawne, gdyby nie dotyczyły rzeczy tak poważnych, jak sprawa wojny i pokoju na Dalekim Wschodzie. Oto panowie dyplomaci amerykańscy postanowili zignorować prawa geografii i wykreślić z atlasów największy kraj świata — Chińską Republikę Ludową. Dla nich Chińska Republika Ludowa, zamieszkała przez 500 milionów ludzi, po prostu nie istnieje, odmawiają jej więc prawa udziału w ONZ.

Jest to decyzja zrozumiała z punktu widzenia interesów imperializmu amerykańskiego. W latach 1945—48 Stany Zjednoczone próbowały już narzucić swą wolę narodowi chińskiemu i... zostały sromotnie przepędzone z ziemi chińskiej. Ostała im się jeno wyspa Taiwan (Formoza), na której schronił się niefortunny zdrajca Czang Kai-szek... Cóż więc prostszego jak uznać Taiwan jako państwo chińskie, a zbankrutowaną klikę kuomintangowską Czang Kai-szeka jako przedstawicielstwo narodu chińskiego. A, że w ONZ Stany Zjednoczone dysponują ciągle jeszcze większością głosów (same kraje Ameryki Łacińskiej to 20 głosów posłusznych dyktatowi USA!) nie trudno przyszło Stanom Zjednoczonym przeforsować ten nierealny punkt widzenia.

Co innego jednak papierowa uchwała, a co innego rzeczywistość. Czyż przez sam fakt, że Stany Zjednoczone nie dopuszczają Chińskiej Republiki Ludowej do obrad w ONZ, Chińska Republika Ludowa przestaje istnieć, przestaje rozwijać się? Czyż nędzny karzeł z Formozy może przesłonić olbrzymi naród chiński, który z każdym dniem rozbudowuje kraj w jedną z największych potęg świata?

Nonsens takiego twierdzenia jest oczywisty, jak oczywiste jest fiasko tego rodzaju awanturniczej, nie liczącej się z rzeczywistością polityki amerykańskiej. Ludzie, którzy kierują polityką Stanów Zjednoczonych przypominają konie, którym zakłada się klapy koło oczów, aby nie dostrzegały widoków, które mogłyby wzbudzić w nich popłoch. Z tym, że politycy amerykańscy sami sobie te klapy na oczy zakładają i sądzą, że jeśli uporczywie nie zechcą dostrzegać zmian zachodzących na świecie, to zmiany te przestaną być dla nich niebezpieczne.

Dotyczy to nie tylko Chin, które z pionka w grze wielkich mocarstw same stały się wielkim mocarstwem. Dotyczy to również wszystkich innych krajów Azji, które przestają być statystami na arenie międzynarodowej i coraz śmielej prowadzą własną, samodzielną politykę. Na wszystko co się dzieje w Azji, a co nie odpowiada woli amerykańskich imperialistów, Stany Zjednoczone mają jedną receptę taką samą jak w sprawie Chin — wykreślić z atlasów geograficznych. A, że całą Azją wstrząsa wulkan ruchów narodowo-wyzwoleńczych, że we wszystkich niemal krajach Azji zachodzą zmiany, które imperialistom podobać się nie mogą — w rezultacie Stany Zjednoczone gotowe są do wymazania z mapy świata prawie całego kontynentu azjatyckiego.

Nie jest to bynajmniej przesadzone. Na obecnej sesji ONZ mają się odbyć wybory uzupełniające do Rady Bezpieczeństwa i Stany Zjednoczone proponują, aby przeszło miliard mieszkańców Azji reprezentował w Radzie Bezpieczeństwa najmniejszy i jeden z najbardziej zacofanych krajów azjatyckich, półtora miliona mieszkańców liczący Liban. Tu już jest kiepsko nie tylko z geografią, ale i z matematyką. Czyż może bowiem ktoś, kto jeszcze nie zupełnie został pozbawiony rozsądku, uznać Liban i tylko Liban za głos narodów całej Azji?

Nie Liban i nie Czang Kai-szek, ukrywający się pod osłoną amerykańskiej floty na Taiwanie, decydować będą o tym, jaką drogą pójdą narody Azji. O tym zadecydowały już Chiny Ludowe, których wspaniały przykład jest natchnieniem dla wszystkich ludów kontynentu azjatyckiego. Mogą Stany Zjednoczone drogą zakulisowych machinacji nie dopuszczać Indii do udziału w konferencji dla uregulowania problemu koreańskiego. Nie zmieni to jednak w niczym faktu, że 300 milionów Hindusów nienawidzi imperialistów amerykańskich, a w sprawie Korei zajmują stanowisko broniące słusznych praw narodu koreańskiego przeciwko zaborczym, wojennym planom Stanów Zjednoczonych.

Jeden rzut oka na niesfałszowaną mapę świata mówi, że w całej Azji grunt pali się pod nogami imperialistów i to nie tylko amerykańskich, ale również angielskich — na Malajach, francuskich — w Vietnamie, holenderskich — w Indonezji. Prosty rachunek mówi, że co drugi człowiek na świecie mieszka w Azji — że potęga zbudzonych ludów Azji jest nie do pokonania.

„Odchodzi w przeszłość stara Azja, której udziałem był beznadziejny ucisk i której narody ujarzmione były przez siły obce" — mówił na uroczystym przyjęciu delegacji koreańskiej na Kremlu przewodniczący Rady Ministrów ZSRR, Georgij Malenkow. Ten „wielki proces odrodzenia narodów Wschodu — mówił dalej Malenkow — stanowi jedną z najważniejszych cech naszej epoki i otwiera wspaniałe perspektywy dalszego rozwoju całej współczesnej cywilizacji"

Tego wielkiego procesu dziejowego nie są w stanie wstrzymać siły zbrojne państw imperialistycznych. Uczy tego historia niedawnych walk w Korei, kiedy przeciw małemu narodowi azjatyckiemu Stany Zjednoczone wysłały gros swoich sił zbrojnych popartych pomocą 15 innych państw. Uczy tego historia niefortunnej próby opanowania Vietnamu przez imperialistów francuskich, uczy tego historia fiaska amerykańskiej interwencji w Chinach w latach 1945—48.

Ale cóż ludzie, którzy kierują polityką Stanów Zjednoczonych musieli za młodych lat być najgorszymi uczniami w klasie. Nie poznali praw geografii, nie pojęli prawideł matematyki, nie nauczyli się także niczego z doświadczeń historii.

Tomasz Atkins

WZYWAM DO PODNIESIENIA WYDAJNOŚCI

(Dokończenie ze str. 1)

nie mówiąc już o przed- i międzyplonach. *A kiszonek* nikt nie zaprawia.

Jaki jest Wasz stosunek do kontraktacji? Weźmy, jako przykład, len włóknisty. Przed kilku laty zaczęliście go kontraktować. Doświadczenie wykazało jednak, że na rędzinach len włóknisty nie udaje się. Wasz wniosek? Zarzucić uprawę. Tyle wymyśliła „gospodarska głowa". Było to myślenie wcale nie gospodarskie — gnuśne i wąskie. Przecież za rzeką macie glebę sapowatą, przepuszczalną i z dostateczną zawartością próchnicy. Oto doskonałe pole dla plantacji lnu. I most macie przez rzekę...

Czy z ołówkiem w ręku kalkulujecie dochody, płynące z kontraktacji? Czy przeprowadzacie narady gromadzkie, na których każdego można by przekonać — bo rachujcie:

Koczaj Ignacy zakontraktował na 1953 r. 0,2 ha buraków cukrowych, 0,2 ha mięty, 0,5 ha koniczyny na ziarno, 0,2 ha lucerny na ziarno, 0,6 ha pszenicy i 0,25 ha ziemniaków. Razem pod kontraktację dał 2 ha. Z tego tytułu mógł zakupić 11 q nawozów sztucznych i otrzymać 2000 zł bezprocentowej pożyczki na kupno nawozów i ziarna do siewu. Po rozliczeniu się z państwem otrzyma 10.000 zł gotówką, będzie mógł nabyć po cenie tańszej 100 kg cukru i za terminową odstawę otrzyma premię w wysokości 10 proc.

Czego ten przykład dowodzi? Że 1 ha w kontraktacji daje 5000 zł, tzn. daje wyższy dochód od dobrego nawet zbioru pszenicy.

*

Wyliczyłem część tylko *głównych grzechów*. Grzechem bowiem nazwać można zaprzepaszczanie u większości chłopów w naszej wsi 13 q pszenicy na każdym hektarze, grzechem nie rozszerzanie kontraktacji, która daje najwyższy dochód, grzechem — nie rozwijanie bazy paszowej, podstawy dla hodowli bydła — fundamentu dochodowości gospodarstwa.

Łatwiej teraz zrozumiecie, dlaczego milczę w poznańskich wsiach. Boję się, abym nie dopytał się przymówek: — Jaki tam u Was w Niegosławicach chłopi mają honor? Co oni noszą na karkach zamiast głowy? Po jakiemu kochają Ojczyznę?

Czas wziąć nowy kurs w Niegosławicach! Są tu przecież przodownicy, jak Sokół, Pająk, Koczaj, Grębosz, Odrobiński... Powstała też spółdzielnia produkcyjna.

Zjazd Szczeciński wezwał wszak przodujących chłopów do nowych zadań. Stańcie się *organizatorami* powszechnie podnoszonej wydajności w gromadzie. Stwórzcie warunki żywej i codziennej współpracy między nowozałożoną spółdzielnią a całą wsią. Przybliżcie ku sobie Gminną Radę, zobowiążcie ją do opieki i pomocy.

Czekam na list z Niegosławic. Czekają czytelnicy „Wsi".

Marian Sawula

EDWARD POCHROŃ

RYS. BIMALI HORSKA

KOBIETY W BIEGONICACH (II*)

Jedno z zobowiązań Biegonic brzmi: *15000 jaj i 1000 sztuk drobiu ponad plan!* — Zaczynam od tego zobowiązania nie bez powodu. Kiedy bowiem stajemy przed zadaniem wydobycia rezerw produkcyjnych z gospodarki indywidualnej, musimy zmobilizować milionową armię kobiet wiejskich. Czy znaczy to, że kobiety mało pracują? Nie, pracują wiele i ciężko. Wprowadzenie kobiet na pierwszą linię walki o podniesienie wydajności rolnictwa oznacza zgoła co innego: oznacza między innymi potężny krok w marszu do wyzwolenia ich z dzikiej harówki i bezplanowej mordęgi.

Widzę tu trzy zadania.

1.

W rodzinach przodujących rolników trzeba dziś budować harmonię w życiu rodzinnym również przez przybliżanie kobiet do doświadczeń, eksperymentów, zabiegów nowatorskich. Trzeba je z nimi oswajać, budzić ciekawość, zyskiwać zrozumienie i solidarność. Kiedyś znany lubelski miczurinowiec, Paweł Kołtun, nazwał swoją sytuację domową — „wojną klasową". Kiedy bowiem szedł *na pole*, był w oczach żony — *gospodarzem*, kiedy zaś szedł na *poletko doświadczalne* — *dziwakiem*. Oto źródło nieporozumień i niezrozumienia wzajemnego. A skutki? Kobieta zaciska na swej szyi pętlę starodawnej, obyczajem utrwalonej, a mało wydajnej harówki. Mężczyzna zaś pozostaje w swym eksperymentatorstwie, w swych z nauki wyprowadzanych zabiegach osamotniony. Miast uznania, radości rodzinnej i gorącego poparcia otacza go mur nieufności i niechęci, gaszenie zapału, obcinanie skrzydeł talentowi i marzeniom. W tym zadaniu punkt ciężkości przesuwa się na mężczyznę. Jeśli on pierwszy zrobił jeden, dwa, trzy kroki w postępie rolniczym, winien pamiętać, że w zapleczu rodzinnym tkwi zacofanie matki, żony, siostry, córki. Że zatem winien wyrównać front domowy, podciągnąć „fraucymer" na zdobytą przez niego pozycję.

Pozwólcie, że sięgnę po przykład właśnie do Biegonic.

Oto rodzina Wojciecha Kurowskiego. Stary należy do grona zwycięzców w konkursie o tytuł najlepszego gospodarza, a mówiąc poprawniej — najlepszego *gospodarstwa*. Wszystkiej ziemi ma 2 ha, ale na niej 5 dorodnych krów rasy czerwonej — podkarpackiej.

Kurowski — to mistrz w hodowli bydła, mistrz od „zielonej taśmy". Na 2 ha uzyskać dostatek paszy dla 5 krów — to sztuka nie lada. Uprawia stary buraki. Rzecz w tym, że wspaniałe buraki, stąd duża i wysokowartościowa masa liści, które kisi na zimę, a wczesną wiosną krowy mają już na polu zielone żyto z groszkiem. Gnojownik u niego doskonały, „bo ziemię trzeba dobrze smarować", o nawozy zabiega, terminów pilnuje. Rezultatem nie same krowy. Oto jego żona, Anna, sprzedała już państwu w tym roku 3 tuczniki: dwa po 200 kg, jeden — 160 kg. Do stycznia dostarczy jeszcze dwa; w listopadzie osiągną one po 200 kg — a już czekają następne warchlaki, aby za dwa miesiące dostać się „pod czulszą opiekę". Tu też rozwija się taśma — taśma chlewna.

Są jeszcze dwie córki. Również przodownice. Julia jest hodowczynią kur: trzyma 60 rasowych sztuk. Od stycznia do czerwca oddała do wylęgarni 7000 jaj. Młodsza, Irena, jest opiekunką warzyw, które uchodzą we wsi za najpiękniejsze.

Oto wyrównany front domowy. Oto mała armia, w której każda broń została unowocześniona i każda część skutecznie wspiera i uzupełnia pozostałe! Przyznano nagrodę Kurowskiemu. Najlepszy on hodowca, ale nie „gospodarz". Bo pod tym tytułem zapisać należy obok niego żonę i córki. *Razem* z nim dały one wzór najlepszego gospodarstwa. I tak w Biegonicach rozumieją charakter konkursu i nagrodę, choć po staremu nazywają tu największą nowość: rodzinę samych przodowników, rodzinę, w której kobiety są towarzyszami i współorganizatorami postępu rolnego, aby objął on wszystkie zakresy gospodarstwa.

2.

Staje więc bezpośrednio przed samymi kobietami zadanie dorabiania się specjalizacji. Trzeba organizować gospodarstwo domowe w wyodrębnione grupy prac przy pomocy broszury i książki rolniczej, aby głowa ulżyła rękom i dawną krętaninę przemieniła w uporządkowaną, wydajną organizację pracy.

Znów sięgnijmy po przykłady do Biegonic.

Trzymały dawniej kobiety kury w większości nie rasowe. Papraniny przy tym było co nie miara, a wyniki mizerne. O metodach i zasadach wychowu — że takie tu istnieją i obowiązują, jak w każdej dziedzinie produkcji — nie miały żadnego wyobrażenia.

W roku 1949 na 1950 przez całą wieś przeszedł pomór na kury. Powyzdychały do ostatniej sztuki. Wstrząs okazał się na tyle silny, że kilka kobiet nie powróciło już do „dzikiej" reprodukcji drobiu. Szukały ubezpieczenia i gwarancji. Dotarły do wylęgarni w Nowym Sączu. Dowiedziały się o... *szczepieniu kur*. Dziw nad dziwy: — taki drobiazg szczepić? Ale zaszczepiły. Zaszczepiły już nie lichotę bezrasową — zielononóżki i karmazyny. Zaczął się rasowy wychów. Najpierw u najśmielszych, które zorganizowały fachowe szkolenie. Z pomocą przyszło państwo, dostarczając kontraktującym otręby, mączkę rybną i inne wysokogatunkowe karmy. Nad kurnikiem zawisł plan dzienny i miesięczny, terminy żywienia, dozowanie porcji, obliczanie karmy, odpowiednie zestawianie treści odżywczych itd. — słowem: naukowa produkcja i regularny, duży dochód.

A jak było z rozwojem warzywnictwa? W tym kierunku kobiety również wykazują naturalne skłonności. Ale wysiłki dawały nikłe rezultaty, hamując zapał do rozwinięcia precyzyjnej w drobiazgach sztuki ogrodniczej. Na nowe tory pchnął kobiety Eugeniusz Kądziołka — prezes Koła Miczurinowskiego. Odkrył bowiem kobietom tajemnicę stałych niepowodzeń. Gdzież one próbowały warzywnictwa? W tzw. ogródkach przydomowych, gdzie nie stosuje się zazwyczaj żadnego płodozmianu: dlatego ziema tu najbardziej zakwaszona. Kądziołka wyprowadził kobiety poza obejście na pole. Na działkach warzywniczych rosną teraz pomidory, ogórki, kapusta, marchew, pietruszka itd.

3.

Kądziołka wyprowadził kobiety nie tylko poza ogródek. Wyprowadził je — najogólniej mówiąc —

poza dom. Bo dopiero tu, poza domem, w życiu społecznym gromady, we własnej organizacji, kobieta wiejska stać się może w pełni człowiekiem i obywatelem.

Zwężmy to zagadnienie do profilu produkcyjnego. Dopiero poza domem, w Kole Gospodyń doświadczenia i umiejętności najlepszych mogą zostać upowszechnione. Dopiero tutaj wzmaga się bodziec do upodobnienia się do najlepszych. Dopiero tutaj otwiera się możliwość zorganizowanej wymiany doświadczeń, ich rozszerzenia i pogłębienia. Stąd najwięcej można wnieść nowego do pracy we własnym gospodarstwie. Stąd można czerpać podnietę, pomoc i wiedzę. Stąd wysuwa się i zapanowuje w gromadzie nowy system kontroli społecznej, niweczący dawny na gnuśności, zabobonach i zacofaniu oparty. Ten nowy system kontroli dźwiga kobiety w górę, popycha do praktycznej nauki, równa z frontem przodujących chłopów.

W Biegonicach od roku istnieje Koło Gospodyń. Rozwinęło się z 9-osobowego zespołu hodowli drobiu. Dziś liczy 57 kobiet. Jak wielką siłę społeczną reprezentuje w gromadzie Koło Gospodyń, niech świadczy fragment kroniki Koła Miczurinowskiego, spod daty 1 lutego 1953 r. Odbywało się wówczas zebranie miczurinowców, wraz z sympatykami osób na sali było ponad 100. „Pod koniec zebrania — jak notuje protokół — zabrały głos kobiety. Powiedziały: „Nie tylko wy będziecie rezonować; my też mamy sporo do powiedzenia. I tak: wy macie sukcesy w polu w koniach, częściowo w krowach, ale my mamy większe sukcesy w drobiu. Posiadamy już 28 środowisk hodowlanych, z których w ciągu stycznia oddałyśmy do wylęgarni 3000 jaj, a sprzedałyśmy 5000 sztuk. To jeszcze nie wszystko. Uchwaliłyśmy, że każda gospodyni zaprowadzi doświadczalny ogródek warzywniczy, hodowlę królików, kaczek, gęsi, indyków."

Biegonice potrafiły wyprowadzić kobiety poza dom bardzo szerokim i mocnym frontem. Koło Gospodyń nie było pierwsze i jedyne w tym dziele. Urodziło się jako dziecko Koła Miczurinowskiego i świetlicy. Nie wolno nam zapominać o tych wpływach. Stąd bowiem zaczęło się promieniowanie na kobiety. Koło Miczurinowskie oswoiło kobiety z myślą o konieczności i pożyteczności postępu rolnego. Świetlica podnosiła ich kulturę, rozszerzała horyzonty, budziła nowe wzruszenia i marzenia. Nie ma siewu bez orki, a im głębsza, tym plony większe. Nic też dziwnego, że Koło Gospodyń, zachowując własną autonomię, w Kole Miczurinowskim uczestniczy jako jego składowa i organiczna część. Ten związek wyraźnie wyniósł kobiety biegonickie na pierwszą linię walki o podniesienie produkcji rolnej, wyraźnie określił ich pozycję na wspólnym froncie. Reprezentują one kilka rodzaj broni i poprzez skuteczność tych broni w kompleksowych akcjach rolnych winny być oceniane. Ich specjalizacje nie stanowią oderwanych i zamkniętych w sobie manii. Zajmują kilka odcinków frontu, który jest dla nich widoczny w całej rozciągłości. Tego ich uczy Koło Miczurinowskie. Dlatego we własnym kole zaszczytem honorowego prezesa obdarzyły tylko i właśnie Kądziołkę, a nie np. Wójcika — speca od wychowu kur. W Kądziołce bowiem widzą szefa sztabu całego życia gromady (prezes Koła Miczurinowskiego i świetlicy) a we własnym kole — armię składową, która bije się nie na własną tylko rękę, ale na określonym odcinku o zwycięstwo całego frontu produkcji w gromadzie.

4.

Wyciągnijmy ogólniejsze wnioski.

Po 1). Kobiety w Biegonicach rozwinęły gospodarstwo domowe, czyli tę część produkcji u indywidualnych, która stanowi jej dodatek, resztówkę, ogon. I która dlatego pozostawała zazwyczaj w zaniedbaniu, na ostatnim planie. Brakowało tu i wiedzy, i warunków, jakie winien stwarzać całokształt gospodarstwa. Gospodarstwo domowe rozszerzało się bądź zanikało w zależności od tego, czy z pola gromadziły się jakieś resztki karmowe, czy też nie.

Kobiety w Biegonicach nadały gospodarstwu domowemu charakter trwały i podniosły je do poziomu dochodowego przedsiębiorstwa. One to właśnie zdobyły *ukryte rezerwy* i pokazały ich ciężar gatunkowy. Nie ma tu miejsca na żarty, jeśli córka Kurowskiej, Julia, w ciągu pół roku sprzedała 7000 jaj, co się równa 10000 zł. A gospodarstwo dwuhektarowe!

Po 2). Nie tylko zatem kobiety przeżyły rewolucję. Ich „przedsiębiorstwa" (doliczmy tu i działki z jarzynami) popchnęły naprzód przewrót, zapoczątkowany przez chłopów w głównych sekcjach Koła Miczurinowskiego, jak zbożowej, okopowej, hodowlanej i paszowej.

Nad królestwem kobiet należało się teraz poważnie zastanowić, aby ustawić celowo główne prace. Powinny one uwzględnić nie tylko swój produkt, ale i jego wtórne, odpadkowe zostosowanie dla gospodarstwa domowego.

Kobiety ukazały możliwość puszczenia w ruch „taśmy" nie tylko w poszczególnych dziedzinach produkcji — ale taśmy poprzez całe gospodarstwo, zazębiającej o siebie wszystkie zakresy, aby w pełni korzystał jeden z drugiego, aby się budował i rozwijał w oparciu o pozostałe. W tej cyrkulacji gospodarz musi wnikać w babskie gospodarstwo, musi nastawić się na jego kalkulację — i odwrotnie: kobieta przestaje odcinać się w planowaniu od pola, od kontraktacji, hodowli i bazy paszowej.

Po 3) Osiągnięcia kobiet w Biegonicach — to wyraz wielkiej inicjatywy społecznej. Ponad połowa ko-

biet w Kole Gospodyń. Sukcesy powszechne w hodowli drobiu i warzyw. Podjęte zobowiązanie na 15000 jaj i 1000 sztuk drobiu ponad plan — czegóż taki rozwój wymaga? Pomocy Gminnej Rady Narodowej. Wyjścia naprzeciw inicjatywie społecznej, która swoim rozmiarem doniosłością dla produkcji zasłużyła na troskliwą opiekę. Kobiety w Biegonicach słusznie dążą do wybudowania kilkunastu wzorowych kurników. Jest to jeden z nieodzownych współczynników wyższej techniki i organizacji tej gałęzi produkcji. Wzór i agitator zaupowszechnieniem hodowli drobiu. Piękny sygnał postępu, który wciąż pcha naprzód i wyzwala z ciasnego praktycyzmu, jaki lubi zasklepiać się wokół pierwszych osiągnięć i na tym poziomie zatrzymać.

Nie bardzo rozumie znaczenie tego ruchu GRN i PRN. Wydział Rolnictwa i Lesnictwa miał dostarczyć materiałów na budowę kurników: cementu i desek. Sprawa poszła w odwłokę. A nie pomagać rozwojowi, tzn. hamować go. Przecież ta rewolucja babska w produkcji — to też walka. Front oporu i zacofania łamie i zdobywa Koło Gospodyń, jego coraz większe osiągnięcia i zadania. Kogóż to więc chce swoją biernością i niedołęstwem wspomóc PRN? Zacofanie?

Jakąż to politykę prowadzi GRN w stosunku do Biegonic, które w ciągu 3 lat zaprowadziły rasową hodowlę bydła?

Czy nie był to i nie jest wielki i mądry wysiłek podniesienia jakości produkcji? Czy nie wynika z niego konsekwentnie przeznaczanie cieląt na wychów? A zatem ich kontraktowanie (rasy czerwonej — podkarpackiej) — co oczywiście wiąże się z przywilejem zniżki w dostawach mleka. Gminna Rada nie umiała przeprowadzić takiego rozumowania. I dlatego podania leżą u niej po dziś dzień nie rozpatrzone. Nikt wobec tego w Biegonicach nie wie, czy zniżkę otrzyma, jaki procent planu gromada już wykonała i ile pozostaje do wykonania zobowiązania ponad plan. Bo takie zobowiązanie Biegonice podjęły, (15000 litrów).

Gnuśna polityka GRN uderza w ową „taśmę" produkcji, organizowaną w każdym gospodarstwie i w całych Biegonicach pod kierownictwem Koła Miczurinowców. Uderza w zapał kobiet, zdobytych dla postępu i wielkiego zadania uruchomienia rezerw w rolnictwie indywidualnym.

Czujemy się w obowiązku przypomnieć Gminnej Radzie dwa przysłowia ludowe:

Jedno:

„Sami nie wiecie, co posiadacie".

I drugie.

„Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz" — gospodarzu terenu!

Edward Pochroń

*) Patrz — część pierwsza — „W Biegonicach", „Wieś„ nr 39.

Z zadań rewolucji kulturalnej

JAN MAKARUK

O RADACH KTÓRE SOBIE NIE RADZĄ

Coraz częściej słychać narzekania na „niedołężność" Rad Czytelnictwa i Książki.

Żalą się bibliotekarze, że Rady nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Gdzież jest zapowiedziana pomoc — „w opracowaniu sieci punktów bibliotecznych, właściwego zaopatrywania bibliotek w książki ze względu na potrzeby terenu, w tworzeniu przy bibliotekach i punktach bibliotecznych czytelni czasopism, w opiniowaniu budżetu na potrzeby biblioteczne w gminie oraz dostarczaniu miejscowej Radzie Narodowej materiałów informacyjnych o potrzebach finansowych w zakresie akcji biblioteczno-czytelniczej"?

Kierownicy świetlic, kierownicy zespołów czytelniczych zapytują: — Jak się przedstawia zapowiedziane „roztaczanie opieki nad czytelnictwem absolwentów kursów dla analfabetów, urządzanie we własnym zakresie i wspólnie z innymi placówkami zebrań informacyjnych i uroczystości, poświęconych sprawie czytelnictwa i książki"?

— Kiedy nastąpi zapowiedziana „opieka nad świetlicami przez wspomaganie ich zarządów i zespołów, radą i pomocą organizacyjną oraz przez wpływanie na pogłębianie programów i metod ich pracy, w szczególności w oparciu o książki i czasopisma"?

— Kiedy odczujemy „współdziałanie w organizowaniu pomocy w zakresie planowej, indywidualnej i zespołowej, pracy z książką dla tych czytelników, którzy na drodze samouctwa dążą do rozszerzenia i pogłębienia swoich wiadomości"?

Księgarnie i Gminne Spółdzielnie żalą się, że dotychczas nie odczuwają pomocy ze strony Rad Czytelnictwa i Książki „w torowaniu książce, przeznaczonej na sprzedaż, dróg do nabywcy — chłopa i robotnika".

A przecież te i tym podobne zapowiedzi były podawane w instrukcjach Rad Czytelnictwa i Książki,

Dlaczego piękne zapowiedzi nie są realizowane? Dlaczego Rady popadły w „drzemkę" po Dniach Oświaty Książki i Prasy? Gdzie tkwi przyczyna nieporadności, niedołęstwa, czy zwykłego nieróbstwa? Przytaczamy te głosy krytyki z zebrań terenowych Rad Czytelnictwa i Książki i pracowników społecznych i kulturalno-oświatowych.

W instrukcji nr 2, gdzie są wskazania dla Gminnych, Powiatowych i Wojewódzkich Rad Czytelnictwa, o pełnomocnikach mówi się: „Stosunek pełnomocników gromadzkich do Rad Gminnych oraz szczegółowe zadania pełnomocników zostaną ujęte specjalnym regulaminem, który wyda Sekretariat Generalny". Zapowiedź wyraźna i zobowiązująca.

Tymczasem wyszła już z druku instrukcja Nr 4, a pełnomocnicy w dalszym ciągu czekają, na „specjalny regulamin".

Nie o wiele lepiej jest i z Gminnymi Radami Czytelnictwa i Książki, o których ostatnia instrukcja mówi, że są to „najważniejsze ogniwa terenowe".

Sekretariat Generalny dostrzegł ich niedomagania i słusznie orzekł, że „w związku z tym muszą być podjęte natychmiast skuteczne środki, które sytuację radykalnie zmienią". Ale zupełnie niesłusznie postąpił, pozostawiając wyszukanie „skutecznych środków" samym Radom, mówiąc:

„Instrukcja niniejsza daje jedynie generalne wskazania. Najskuteczniejsze środki zaradcze winny znaleźć same Rady, znając najlepiej potrzeby swego terenu".

Przecież „generalne wskazania" były w poprzednich instrukcjach i Rady najlepiej znały potrzeby swego terenu, a praca — jak stwierdza sam Generalny Sekretariat — **„nie tylko nie została pogłębiona, lecz osłabła"**. Widać, że Rady same sobie rady dać nie mogą i Generalny Sekretariat powinien przyjść im z wyraźną, konkretną pomocą. Jeśli się stwierdza, że niedociągnięcia dotyczą „przede wszystkim Gminnych Rad Czytelnictwa i Książki", to trzeba postawić tym Radom konkretne zadania i wskazać sposób ich realizacji, a nie dawać zestawienia „generalnych wskazań" z ciągłym powoływaniem się na poprzednie instrukcję Nr 2 i Nr 3.

Jeśli Sekretariat zaleca Radom „ostateczne zorganizowanie stałych komisji roboczych, przewidzianych instrukcją Nr 2, a mianowicie komisji książki i komisji czytelnictwa", to dlaczego, choćby dla przykładu nie zorganizował podobnych komisji na stopniu centralnym? Czyżby nie wierzył w skuteczność ich działalności? Chyba nie. Jest to więc jedno z wielu niedociągnięć Rad „od góry do dołu".

Niedociągnięciem jest również zalecenie **powtórnego „powoływania"** Gminnych Rad Czytelnictwa i Książki, oraz pełnomocników gromadzkich.

— We wszystkich gminach powołać nowe, a co zrobić ze starymi? zapytał jeden z członków Woj. Rady Czytelnictwa i Książki w Koszalinie.

Od podobnych zaleceń, wskazań w instrukcji, która ma usprawnić „osłabioną działalność" Rad, aż się roi. Układ treści i forma językowa również pozostawia wiele do życzenia. Którego z członków Rad, a szczególniej gminnych, o których specjalnie mówi się na wstępie zachęci do czytania tak wystylizowany tytuł jednego z rozdziałów: „Postępowanie w toku realizacji zadań okresu jesienno-zimowego". Na której stronicy znajdzie członek Gminnej Rady Czytelnictwa i Książki zestawienie choćby tych „generalnych wskazań"? A przecież ostatnia instrukcja miała być przewodnikiem Rad Czytelnictwa i Książki. Czy spełniła tę rolę? Według opinii aktywniejszych członków rad terenowych — nie. Podstawowym czynnikiem — jak twierdzą i to zupełnie słusznie — jest człowiek, aktywny członek Rady. Od jego chęci, zapału i umiejętności w pracy zależy najwięcej. Trzeba go tylko dobrze z pracą zapoznać i odpowiednio do niej przygotować. A co zamierza zrobić Sekretariat Generalny w najbliższym czasie? Nie wiadomo. Zestawia „generalne wskazania", ale o szkoleniu, odprawach instrukcyjnych, o sposobach realizowania konkretnie postawionych zadań nie mówi się wcale. A członkowie Rad i pełnomocnicy gromadzcy czekają na konkretne wskazania, które mogą otrzymać bądź na odprawach instrukcyjnych, bądź z broszur czy artykułów na temat pracy Rad Czytelnictwa i Książki.

Niejeden z nich — jak twierdzi J. Podgóreczny — nawet chętnie przyjął mandat i ochotnie zabrał się do pracy, ale nie jest zorientowany.

Członkowie nie są zorientowani w wykonaniu powierzonych im zadań, a sekretariat, sądząc na podstawie ostatniej instrukcji, nie jest zorientowany, jak ich zorientować, by nareszcie praca ruszyła. Miejmy jednak nadzieję, że coraz liczniejsze wypowiedzi pracowników kulturalno-oświatowych wskażą przyczyny dotychczasowego niepowodzenia i podsuną praktyczne środki zaradcze,

Jan Makaruk

rys. B. Horska

TADEUSZ PAPIER

POGRZEB MAGDY

Stara Magda była krewną Koselarzy. Ale Koselarze uświadomili to sobie w całej wyrazistości dopiero po jej śmierci. Którejś niedzieli, po południu, przyleciał do nich Szymon Jagusztyn i powiadomił ich o tym.

— Ano, pomarło się jej...

— Uspokoiła się już! Nie będzie więcej cierpiała...

— Bodaj to takie życie!... Człowiek je, śpi, pracuje, i nie wiadomo kiedy przyjdzie się zabierać...

— Stara już była! Czas na nią!

Dziadek Jakub stęknął:

— Stara, powiadasz? A cóż to? Nie mogłaby jeszcze trochę pożyć?...

Oddychał ciężko, niespokojnie. Rozżalił się:

— Człowiek nawet nie miał czasu zajrzeć do niej. Ano przyjdzie się do Maćkowskiego za tym, za owym, pogada, a na starą nikt nie zwróci uwagi... Krzątało się to stale i tylko wymyślania zbierała...

— Jak każdy, kto służy u drugiego...

Śmierć miała Magda lekką.

Rano w niedzielę usiadła na ławeczce przed domem. Dzień był ciepły. Pszczoły bzykały po ogródku, bo Maćkowski wystawił stare ramki, na których perliły się jeszcze krople miodu.

Gospodyni szykowała się na sumę do kościoła. Pastuch, syn Frąckowej, nie przyszedł dzisiaj do krów. Zazwyczaj niedzielne dopołudnia miał wolne, Magdzie więc wypadało pasanie krów. Ta czynność spadała na jej barki w niedziele i święta. Dzisiaj jednak czuła się tak słabo, że nie mogła kroku zrobić.

Szymon, który szedł do stajni, zauważył z troską:

— Nie położycie się?

— E... nie... Zdrzemnęłam się trochę... Popatrzyć chciałam na św.at... zmorzyło mnie...

— Patrzcie! Patrzcie! Ładnie dzisiaj!

— A jakże!

— Magda! — dał się słyszeć nagle piskliwy głos Maćkowskiej

— A co? — odkrzyknął gburowato Szymon. — Pali się?!

— Nie widziałeś gdzie Magdy? — darła się w dalszym ciągu Maćkowska. — Krowy by popasła!

Stara chciała się zerwać z ławki, ale stęknęła i chwyciła się za serce.

— Siedźcie! — nakazał ostro Szymon i zawołał głośno w kierunku ogrodu, skąd dochodził głos Maćkowskiej: — Czekajcie! Ja już załatwię!

Chciał zaprowadzić Magdę do domu, ale ta uparła się.

— Jeszcze trochę posiedzę... i pójdę... Bóg zapłać, synku!

— No! Odpoczywajcie! Krowy popasie Zośka!

*

Wieczorem znaleziono Magdę martwą. Szymon zastał ją w takiej samej pozycji jak przed południem. Głowę miała wspartą o ścianę, usta rozchylone, oczy rozwarte szeroko, wpatrzone w niewidzialny, czarny świat.

Pogrzeb był wyznaczony na środę rano. Ludzi zebrała się garstka. Przyszli Koselarze, Wrony, Zgorzelakowie, stary Graca i rówieśnik Magdy, bezzębny Bożkowski.

Na cmentarzu Maćkowski chciał szybko załatwić się z ceremoniami, ale kobiety poczęły wołać:

rys. B. Horska

— Otworzyć trumnę!

— Otworzyć!

Maćkowski skrzywił się i odszedł na bok. Jakub i Wrona podważyli wieko i oczom ludzi ukazała się żółta, pomarszczona twarz z zaciśniętymi surowo ustami. Chude, żylaste ręce, skrzyżowane na piersiach, trzymały obrazek i krzyżyk. Stara Wronina, która przywlokła się aż na cmentarz, poczęła zawodzić. Któraś z kobiet zawtórowała jej płaczliwie. Żałobny śpiew pomieszał się z płaczem i szeptaniem ludzi.

Jakub miał również zaczerwienione powieki. Spojrzał na leżącą Magdę i szarpnął za rękaw Szymona.

— Wstydu nie macie!

— A cóż takiego?

— No zobacz! — świszczał stary. — Tyle lat służyła i nawet butów pożałowaliście! Takie trepy jej założyć!...

— E... pleciecie! — jąkał się Szymon. — Moja żona zakładała jej nowe buty...

— No to popatrz!

Szymon rozgarnął ludzi i pochylił się nad trumną Na twarz wystąpiła mu ceglasta plama.

— No co? — nacierał stary.

Już i wśród ludzi zaczęły się szepty:

— Patrzcie! Jak to ją wyprawili!

— Starą zapaskę ma na sobie...

— Ho! ho!

— Ale się wykosztował... Już i zięć nie pomógł..

— Jeden wart drugiego...

— Biedna ona... Całe życie tyrała... Żadnego spoczynku...

— I taki koniec...

Maćkowski odwrócił się zgorszony.

— Cmentarz! — rzucił upominająco.

— Zarobiłeś na Magdzie? Mało ci było za życia, to jeszcze po śmierci?

— Komunista! — syknął Maćkowski.

Olszowy przy pomocy Jakuba, Skowrona i Sali począł spuszczać trumnę do dołu. Frąckowa wytarła oczy i szepnęła:

— Ot i koniec...

Maćkowski wyszedł za bramę i począł szykować wóz, do odjazdu. Kobiety spoglądały na jego chudą, przygarbioną postać i szeptały:

— Zły jak osa!

— A bo mu się należało!

— Dajcie spokój! Na cmentarzu żeby się kłócić...

— A ten Wrona taki z cicha pęk... Nic nie mówi, do niczego się nie miesza, ale jak się wyrwie...

— Coś w tym musi być!

Frąckowa ujęła się pod boki i niespodziewanie wypaliła:

— A co jest? Krzywda ludzka i tyle!

— Patrzcie! Jaka sprawiedliwa!

— A pewnie! Bogaty jeździ na biednym i po śmierci. Magda zasłużyła na taki koniec? Byle zepchnąć do piachu...

— A co chcecie? Żeby ksiądz tu był? Może biskupa sprowadzić? — zawołała Maćkowska. — Jak to każdy cudzym rozporządza!...

— Oj los! — rozżaliła się Frąckowa. — Całe życie człowiekiem poganiają...

— Frąckowa! Mówiłem wam! Rzućcie te posługi u Maćkowskiego! Dacie sobie radę... — wtrącił Wrona.

— Idź, ty, buntowniku! Jużeś się zwąchał z tymi... No! — krzyknęła Maćkowska. — Chodźcie, Frąckowa! Siadajcie z nami! Człowiek, wiadomo! W złości różnie sobie powie... O to nie ma gniewów...

Maćkowska ujęła Frąckową pod ręce, ale ta usunęła się na bok.

— Jedźcie! Ja tam pójdę... — burknęła.

— Szymon! Do koni! — krzyknął zza muru Maćkowski.

Ale Jagusztyn udał, że nie słyszy. Wmieszał się pomiędzy ludzi i szedł ze zwieszoną głową.

— Szymek! — wołała Maćkowska.

Jagusztyn machnął ręką i nie odpowiedział Stary Jakub zaczepił go:

— Cóż to? Nie jedziesz?

— A bodaj to! Nie jadę!

„Pewnie mu tam nie lekko, u teścia" — pomyślał stary. „A komu zresztą lekko! Frąckowej? Zgorzelakowi? Koselarzom?"

Szli jakiś czas w milczeniu myśląc o swoich sprawach

Życie Frąckowej układało się podobnie — i kto wie, czy nie taki sam koniec ją czekał? Ostatnio Maćkowski coraz wyraźniej zaczął napomykać, czy by nie chciała przyjść do niego na stałe?

Ale znowu z drugiej strony Wrona jej podpowiadał, że chętnie ją przyjmą do spółdzielni. A tam życie inne. Dokąd pójść? Co wybrać? Oj, życie! życie!..

Rzuciła ze złością do Szymona:

— Dusigrosze! Nawet po śmierci starej nie darowali... Na pośmiewisko ludzkie...

— Ja to rządzę gospodarką?

— A kto? — zapytał chytrze stary Jakub. — Przecież Maćkowski zapisał ci połowę...

— A jakże! Zapisał...

— Czyżby oszukał? — nacierał chytrze dziadek. — No, powiadam, jacy to ludzie...

— Idźcie do diabła! — burknął Szymon. — Zapisał, wiadomo... W gminie... ale do rejenta nie skory...

— Rozdział zrobił? Niby ty połowę i on połowę?

— Mają skup mniejszy... Takim zawsze dobrze... — stęknął Zgorzelak.

— Nie skrzywdzi cie chyba? — dorzucił dziadek.

— Pierońskie życie! — mruknął w odpowiedzi Szymon i umilkł zasępiony.

Nazajutrz całą wieś obiegła wiadomość, że Szymon pobił się z teściem. Podobno stary wyrzucał mu zachowanie się na cmentarzu. Szymon uniósł się gniewem, potarmosił trochę Maćkowskiego, rozbił krzesło o podłogę i całą noc spędził poza domem. Spał w ogrodzie, czy też na polu pod kopką koniczyny.

Tadeusz Papier

Rys. B. Butenko

WIESŁAW RUSTECKI

Kareta dziadka Batorego

BYŁO wiadomo w powiecie, że Spółdzielnia „Zwycięstwo" posiada 4 traktory: jeden „Ursus", dwa czeskie „Zetory" i jednego „amerykanina" — prychającego dychawicznie ze starości. Cztery, to cztery. Ale z kolejnego sprawozdania z akcji żniwnej wynikało, że w „Zwycięstwie" pracuje 5 traktorów. Pożyczyć, nie pożyczyli. Kierownik POM-u bił się w piersi i tłumaczył sekretarzowi Gminnej Rady:

— Nie pożyczałem, sekretarzu, cudów nie ma.

— Bieda z nimi — kłopotał się sekretarz. — Miałem wysłać meldunek do województwa i nagle — co, pomyłka, nie zgadza się. Traktor, to nie szpilka, żeby się było można w liczeniu pomylić. Nie ma co, trzeba sprawdzić.

Wybrałem się i ja do spółdzielni. To było ciekawe. Nawet w „Zwycięstwie" nie znajduje się traktorów na drodze. I faktycznie — było ich pięć. Co prawda, ten piąty traktor obiecująco nie wyglądał. Trochę z niemieckiego auta na gąsienicach, trochę z „Ursusa" — wszystko przemyślnie powiązane bez mała... drutami.

— Tylko nie krytykujcie — uprzedził przewodniczący. „Zwycięstwa" — bo wiecie, to sprawa jest drażliwa. Nie tak dawno, jeden z furmanów obraził dziadka Batorego i mało do bójki nie doszło. Nasz dziadek jest czuły na punkcie tego potwora, no bo to jego zasługa. Znacie dziadka Batorego?

— Dziadek Batory wcale nie nazywa się Batory — objaśniał przewodniczący. — Ale do spółdzielni przyjęliśmy Batorego. Było to trzy lata temu na wiosnę. Wędrował sobie stary drogą, jak to bywało, po proszonym. Stanął sobie przy studni, brodę pogładził, a miał ją słuszną, pielęgnowaną na proszonym chlebie, Boga pochwalił, napił się wody i wypoczywa. Zmiarkował się stary, że jest w spółdzielni i to mu się nie podobało.

— Wspólne kotły — mówi — u was i z kobietami obraza boska. Była przy studni właśnie Jambrozikowa. Nawet nie dała mu dokończyć, bo jak nie wrzaśnie... Stropił się dziadek, ale nic, słucha. Gdy skończyła, dziadek powiada: „Sad to macie ładny, jak u jednego księdza z Góry Kalwarii, ale przydałaby się wam pasieka. Deseczki widziałem, ule można by zbić. Wstyd — powiada — dobro marnować. — Patrzcie go, rozdarła się Jambrozikowa — to ty się wstydź, stary dziadygo! Zamiast za „co łaską" się tułać, do roboty się weź i w ulach robactwa pilnuj! Właśnie w tym czasie wybiegły dzieci ze szkoły. Zobaczyły dziadka i krzyczą: Batory! Batory! Taki z brodą i czapką wysoką! Jak się domyślacie, uczyły się tego na lekcji i widziały fotografię jakąś.

Jakżeście mnie tak ładnie nazwali, to najmijcie mnie — mówi. — Stary jestem, ale się jeszcze przydam. — Dziadku — mówi Jambrozikowa — to spółdzielnia „poproszoną duszę zgubicie". — Ja się do waszych praktyk nie będą mieszał, ale o skrzydlatego gada zadbam. Najmiecie mnie?

I w taki to sposób dziadek znalaz się w spółdzielni.

Na nocleg zaprosił mnie dziadek do siebie.

Zgodziłem się, bo lato było ciepłe i pociągał mnie sen na świeżym powietrzu, na sianie. A mieszkał dziadek w małym szałasie, który postawił sobie pośrodku sadu. Owoców pilnuję — tłumaczył — a i do uli mam bliżej.

Słyszysz, jak szumią?

Siedziałem na wiązce siana i patrzyłem, jak dziadek piecze na małym ogieńku kartofle. Dym cieniutką smugą unosi się do góry, na pogodę. Tu i tam spadają jabłka: pac, pac...

— Posiedź, uzbieram — mówi dziadek rozgarniając popiół. — Ładny mamy urodzaj, widziałeś jakie piękne renety? Dostaniesz, pogryziesz. Ja mam już zęby za stare.

Od lasu nadciąga wieczór, Z daleka niesie powietrzem ciche porykiwanie krów.

— Jałówki — nadsłuchuje dziadek — dlatego tak późno. Udój już był. Przynieść ci mleka?

Nie chce mi się jeść, więc dziękuję.

— Nie dziękuj, dobre mleko. Taki przydział mam, a sam litra nie wypiję. Chyba, żeby nie mleka... śmieje się i odchodzi z blaszanką.

— Nie śpisz — wyłonił się z mroku dziadek — to dobrze. Mam mleko, ale ćwiartki nie chcieli dać. Szkoda, bysmy obleli moją karetę.

— Niezła, co? — dodał rozlewając mleko do garnków.

— Jak to było, dziadku, z waszym traktorem?

— A jak miało być? — dziwił się drapiąc się w łysinę. — Zwyczajnie złożyłem, bo na maszynach wyznaję się prawie od maleńkości. W wojsku byłem, kowalstwo znam...

— A motor skąd?

— Z tym motorem, to było tak. Za stodołami stał niemiecki wrak, zwyczajnie, rozbity. Ale on nie był taki rozbity, tylko widzisz, wsiowi rozkradli. Wszystko brali, zegary różności, a w środku, to któryś... chalernik narobił

Dziadek splunął z obrzydzeniem.

— Ale ze miną to nie łatwa sprawa. Poszedłem, popatrzyłem — gąsienice całe tylko ławek i motoru brak. Skąd tu motor? Mechanik to ja taki nie jestem, żeby z brony zrobić lokomobilę. Ale od czego głowa — śmieje się dziadek. Poszedłem do tego i owego, rozmawiamy o pogodzie, o urodzaju — jak to stateczne chłopy. Pytam się od niechcenia, czy nie mają jakichś narzędzi, śrubek i tak dalej. Ten co ma, to i pochwalić się lubi. Naznosiłem do szałasu różności, kółek i wałków, ale jak się do tego zabrać? Medytowałem i nic.

Aż tu przyszedł na jabłka młody Stasiak, traktorzysta. Dałem mu kosztela i mówię do niego — zmontuj mi tę machinę, co za stodołą stoi, a samymi fruktami możesz żyć. Pomedytował, popatrzył i powiada: — Wału brakuje i panewek. Świece to ja mam, ale bez wału, to szkoda mówić. Przynieś mi dziadku wałek i tych ułęgałek, co w słomie trzymasz. Patrzcie go, w słomie, skąd on się wywiedział? Ale nic niosę mu ułęgałki i pytam się, jak ten wał wygląda, wytłumaczył mi i ulecz orem poszedłem na wieś. Trzy dni go szukałem, dopiero na kolonii... ciężki był — wzdycha dziadek.

— I tak żeśmy robili. Ten Stasiak, to zmyślny chłop. Do roboty się zapalił i do miasta po części jeździł, w tajemnicy, w końcu powiada: „Ta kareta, dziadku, na benzynę była, a my ją zrobimy na ropę. Taniej będzie i lepiej. Takżeśmy zrobili. I zobacz — śmieje się dziadek — kareta się kupy trzyma i jedzie. Jedzie, ha, ha, na jesień w sadzie mi porobi...

*

W dwa dni przyjechała komisja z powiatu. Przywiozła kupę papierów i wypełniała je wśród nieustannych kłótni. Ospowaty mechanik z POM-u twierdził, że to nie traktor, tylko zdemobilizowana niemiecka tankietka.

— Chłopcy — denerwował się dziadek — no to co, że „kietka", ale chodzi! Kuba — prosił Stasiak — pojeździj po podwórku, niech komisja zobaczy.

Kuba siadł i jeździł. Motor dławił się, prychał, buchał kłębami dymu i ruszył z miejsca Dziadek dumnym wzrokiem wodził po twarzach komisji.

— Człowieku! — irytował się ospowaty — ile ta kareta pożre ropy i oliwy! Tony, bo panewki nieszczelne.

— To ja, to ja pokułami zatkam! — kłócił się dziadek. Pod lasem pole zaorał, siedemnaście hektarów, to mało? A w sadzie ziemię mi wzruszy, to mało? Ja was tu...

Widząc nieprzyjazne nastawienie konstruktora, komisja ustąpiła. Postanowiła uznać nowe dobro spółdzielni, z tym, że nie wróży karecie długiego żywota.

Dziadek się uspokoił. Uradowali się spółdzielcy, którzy postanowili nagrodzić nowoupieczonego konstruktora. Specjalnie zwołane posiedzenie zarządu spółdzielni poleciło wypłacić Stasiakowi i Batoremu premie pięćsetzłotowe.

Jeszcze tego samego dnia dziadek pojechał do miasta, karetą. Wrócił po dwóch dniach, w nowych spodniach, z fajką i zapasem tytoniu. W ręku ściskał gazetę.

— Zobaczcie — rzekł do tych, co go witali, pokazując swoją fotografię obok artykułu o zdrowej inicjatywie spółdzielcy Batorego.

To jest tak — rzekł dziadek, zapalając z godnością nową fajkę — w gazetach o mnie piszą, w powiecie sławny jestem, a może i w samej Warszawie. I o naszej spółdzielni mówią, że bogata, ludzi na karety stać...

Taki to jest, kochani, nasz dziadek Batory.

Wiesław Rustecki

MARIAN ŚWIETLIK

OSOBISTY, SPÓŁDZIELCZY I OGÓLNONARODOWY INTERES*)

(*Uwagi na tle analizy statutów spółdzielni produkcyjnych*)

Szczególnym wyrazem liczenia się z osobistymi interesami **chłopów - spółdzielców,** a zarazem bogatym w momenty wychowawcze jest zagadnienie rozrachunków między członkami ZUZ i podziału dochodu w pozostałych typach spółdzielni. Owo liczenie się z osobistymi interesami chłopów polega na szerokim honorowaniu stanu posiadania ziemi i środków produkcji posiadanych przez członków spółdzielni. W niższych bowiem typach (poza RZS) członkowie spółdzielni uczestniczą w podziale dochodu nie tylko na podstawie pracy, ale i z tytułu posiadania środków produkcji. Statuty jednak bynajmniej nie pielęgnują i nie utwierdzają tego stanu rzeczy, a przeciwnie stwarzają jednocześnie przesłanki do likwidacji dochodu nie z pracy, czyli warunki przerastania niższego typu spółdzielni w wyższy, do typu, który wyklucza wszelki dochód bez pracy. Ważnymi czynnikami zabezpieczającymi ten proces są przepisy statutowe, które zakładają konieczność określonego minimum wkładu pracy, jako warunku do udziału w dochodzie podzielnym oraz konieczność dokonywania corocznych rezerw na poszerzanie społecznego gospodarstwa. Pierwszy warunek wyklucza możliwość istnienia w spółdzielni pasożytów, w jakich mogliby się przerodzić zamożniejsi średniacy, drugi (jak zresztą i pierwszy) powoduje rozwój społecznej własności. Rozwój społecznego majątku w perspektywie winien doprowadzić nawet najzamożniejszych średniaków do wniosku, że w ich osobistym interesie pożyteczniej będzie zrzec się uprzywilejowanego stanowiska w spółdzielni na rzecz konsekwentnie socjalistycznego podziału dochodu. Zrozumiałe jest, że prawda ta nie objawi się im we śnie, a uświadamia się na tle imponującego rozwoju gospodarki społecznej. Sprawcza rola przypada w tym procesie przede wszystkim biedocie wiejskiej. Ona to właśnie, najbardziej zainteresowana w spółdzielczości produkcyjnej, w podnoszeniu zasady kojarzenia interesów na coraz wyższy szczebel, winna swym socjalistycznym stosunkiem do pracy, ofiarnością, dbałością o społeczne mienie pociągać za sobą średniaków, pomagać im w dopracowywaniu się nowej oceny osobistych i społecznych interesów.

Osobne miejsce w naszych rozważaniach należy poświęcić dniówce obrachunkowej — miernikowi pracy i spożycia. Okres kapitalizmu zakorzenił w chłopie iluzję dorobienia się na swoim gospodarstwie. Złudzenia tego u pewnej części chłopów nie zdołały rozwiać nawet lata przewlekłego kryzysu ekonomicznego. Stąd, jedną z poważniejszych rozterek chłopa w dyskusjach nad spółdzielczością produkcyjną jest zagadnienie, czy spółdzielnia stwarza dlań możliwości zarobku stosownie do jego sił i umiejętności. O ile nadzieje na dorobek w okresie kapitalizmu były istotnie złudne, to spółdzielnia produkcyjna stwarza realne przesłanki pełnego wykorzystania produkcyjnych możliwości członka spółdzielni. Tę możliwość zabezpiecza właśnie dniówka obrachunkowa. Ta szczególna forma obrachunku i opłaty za pracę jest rezultatem wieloletnich doświadczeń ruchu kołchozowego w Związku Radzieckim. Dzieje radzieckiej wsi kołchozowej uczą, że stała się ona jedną z najpoważniejszych dźwigni rozwoju socjalistycznego rolnictwa i nader istotnym środkiem wychowania mas chłopskich w duchu kolektywizmu. Doniosłość dniówki obrachunkowej bierze się stąd, że w jedynie doskonały sposób wiąże ona trojakiej natury interesy zbiegające się w gospodarce spółdzielczej: osobiste interesy spółdzielców, interesy spółdzielni i interesy ogólnonarodowe. Chłop - spółdzielca zainteresowany jest w jak największym rezultacie pracy, spółdzielnia w jak najwyższej jej ilości i jakości, państwo natomiast w maksymalnej wydajności produkcji rolniczej. Interesy te zatem pokrywają się nawzajem, tworzą harmonijną całość, zazębiają się wzajemnie. Dążenia poszczególnych spółdzielców do osiągania jak największych rezultatów pracy przyczyniają się w sumie do rozwoju społecznego gospodarstwa, który z kolei podnosi wartość ich pracy, łącznie zaś oznacza to wzrost wydajności i coraz większą podaż rynkową. Dniówka obrachunkowa uwzględniająca specyficzną społeczno - ekonomiczną naturę chłopa, spółdzielni jako socjalistycznego przedsiębiorstwa oraz powiązań z państwem posiada jednocześnie niezastąpione walory wychowawcze. Ponieważ osobiste interesy chłopa bezpośrednio powiązane są z interesami całego kolektywu, skłania ona chłopa do interesowania się całością gospodarki, rozwija w nim poczucie odpowiedzialności nie tylko za swój odcinek pracy ale również za całokształt kolektywnych poczynań, wdraża w socjalistyczny stosunek do pracy, zainteresowuje w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych.

Ważną dziedziną kojarzenia interesów jest zarządzanie spółdzielczym gospodarstwem. Z poprzedniego okresu wyniósł chłop przeświadczenie, że sam decydował o swoim losie i jego osobistym interesem jest utrzymanie nadal decyzji o swoim bycie we własnych rękach. Oczywistą rzeczą jest, że to przeświadczenie jakoby w kapitalizmie sam kształtował swój los jest złudą. Dopiero władza dyktatury proletariatu przyoblekła to mniemanie w rzeczywistość, dopuszczając chłopów pracujących do roli **współgospodarza państwa.** Statuty spółdzielni produkcyjnych czynią chłopów pełnoprawnymi kierownikami kolektywnego gospodarstwa. Postanowienia statutów spółdzielni produkcyjnych, jak żadnych innych, oddają w ręce kolektywu, walnego zgromadzenia, zarządu, komisji rewizyjnej, sądu koleżeńskiego i różnych doraźnych komisji prawo decydowania o najżywotniejszych sprawach społecznej gospodarki. Sprawą Partii, POM i innych organów władzy ludowej przenoszących na wieś umiejętność zarządzania dużym, skomplikowanym gospodarstwem spółdzielczym, ideę współzawodnictwa i racjonalizatorstwa, strzegących zarazem interesów ogólnonarodowych — jest oddziaływanie wychowawcze w drodze perswazji, przekonywania, a nie wyręczanie chłopów w ich kompetencjach, tym bardziej nie komenderowanie chłopami, chociażby wypływało z życzliwych intencji. Jak pokazuje doświadczenie, aktywności samych spółdzielców nic nie zdoła zastąpić.

Powyższy przegląd form przejawiania się zasady kojarzenia interesów osobistych i społecznych (patrz część I „Wieś" nr 39), na gruncie spółdzielni nie wyczerpuje zagadnienia. Przebija ona niemal z każdego ważniejszego sformułowania statutowego. Bo przecież wyrazem kojarzenia interesów w spółdzielni są i te założenia statutowe, które przed młodzieżą chłopską otwierają perspektywę zdobycia wysokich kwalifikacji rolniczych, przed kobietami możliwość zrzucenia jarzma pracy domowej i przywrócenia ludzkiej godności, czy też ludziom w podeszłym wieku zapewniają spokojną, beztroską starość. Zresztą i sam statut nie wyczerpuje wszystkich możliwości kojarzenia interesów i stwarza dla nich najogólniejsze ramy pozostawiając w tej dziedzinie szerokie pole dla twórczej inicjatywy mas chłopskich.

*

Działaczom terenowym, którzy prowadzą czytanie i dyskutowanie statutów spółdzielni produkcyjnych polecamy broszurę J. Rasińskiego „Zasady statutowe spółdzielni produkcyjnych" (Wydawnictwo: „Wiedza i Książka").

Praca Jerzego Rasińskiego jest dobrym wykładem - komentarzem zasad statutowych. Bardzo trafnie podchwytuje i wyjaśnia najistotniejsze problemy statutowe, nurtujące wśród chłopów. Autor wystrzega się wszelkiego formalizowania przepisów statutowych, której to skłonności nie zdołało się jeszcze wyzbyć wielu działaczy.

Uwaga autora ześrodkowana została na omówieniu tych wszystkich zasad, których przestrzeganie gwarantuje zaspokojenie najżywotniejszych interesów chłopów i jednocześnie decyduje o pogłębieniu socjalistycznej treści spółdzielni produkcyjnych. Statuty w rozumieniu autora to przede wszystkim bogata w środki instytucja wychowująca chłopów na członków nowego, socjalistycznego społeczeństwa. Prosty język liczne, czerpane z praktyki przykłady, czynią ją przystępną dla szerokiego aktywu politycznego wsi.

Marian Świetlik

*) Patrz część I „Osobiste i społeczne interesy chłopów" — „Wieś", nr 39.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

POZNAJEMY CHIŃSKICH PRZYJACIÓŁ

Na zjeździe pisarzy i artystów w maju r. 1942, w ówczesnej stolicy Wolnych Chin — Jenanie, Mao Tse-tung tak mówił do zgromadzonych: „Rewolucyjni pisarze i artyści Nowych Chin muszą mieć odwagę przeniknięcia w lud i masy pracujące. Powinni ciałem i duszą, bez zastrzeżeń oddać się ludowi i zaciętej walce, którą on prowadzi i która winna stać się jedynym, potężnym źródłem ich twórczości. Muszą żyć wśród ludu długo, obserwować, odczuwać, badać, analizować najrozmaitsze typy ludzkie, wszystkie klasy i grupy społeczne, rozmaite formy życia i walki, całą ich literaturę i sztukę wyjej surowej formie".

Program sformułowany przed 11-tu laty przez Mao Tse-tunga, który jest nie tylko wielkim politykiem i przywódcą mas ludowych, lecz również wybitnym poetą i krytykiem literackim, zapoczątkowali w pewnym stopniu i w pewnym sensie już w r. 1919 postępowi literaci chińscy, związani z wolnościowym antyimperialistycznym „Ruchem 4 Maja". Znakomici pisarze starszej generacji, jak Lu Sün, Kuo-Mo-żo, Lao Sze i inni, rozpoczęli wówczas ostrą kampanię przeciwko skostnieniu treści i formy literatury chińskiej i podjęli skuteczne wysiłki w celu takiego jej odnowienia i przeobrażenia, by stała się literaturą dla prostych ludzi, omawiającą ich sprawy, dążenia i nadzieje językiem prostym i dostępnym, wolnym od przeżytych tradycji epoki feudalnej.

Realizacja tych postulatów, mogła stać się, oczywiście, możliwa dopiero wtedy, gdy naród chiński, pod wodzą Partii Komunistycznej, zbrojnym i długoletnim wysiłkiem swej armii wyzwoleńczej, zrzucił z siebie wreszcie odwieczne jarzmo rodzimej reakcji i obcego imperializmu, stając się panem własnych losów w ustroju Republiki Ludowej, opartej na zasadach wolności, demokracji i socjalizmu. Ostateczny pogrom kuomintangowskich zdrajców i narodziny Chińskiej Republiki Ludowej w historycznym dniu 1 października 1949 roku — był to zwrotny etap dziejów 500-milionowego narodu, otwierający przed nim nowe drogi wszechstronnego rozwoju i rozkwitu.

Współczesna, postępowa i realistyczna literatura chińska — ta właśnie, dla której praca, walka i zwycięstwa ludu są „jedynym, potężnym źródłem twórczości", czerpała od lat wzory, zachętę i natchnienie z przodującej literatury radzieckiej, a przede wszystkim z dorobku znakomitego jej twórcy i przedstawiciela, Maksyma Gorkiego.

Inspirowana twórczością najwybitniejszych pisarzy radzieckich, ożywiona ideami humanizmu, wolności i sprawiedliwości społecznej, postępowa literatura chińska odegrała wybitną rolę w wyzwoleńczej walce narodu, wskazując mu bieżące zadania i cele, otwierając przed nim perspektywy szczęśliwej przyszłości, jednocząc go i mobilizując do wspólnych wysiłków w imię dobra tak długo ciemiężonych mas ludowych. Gdy dzieło wyzwolenia stało się faktem nieodwołalnie dokonanym, literatura weszła w nową fazę rozwojową: przed pisarzami chińskimi stanęło wielkie zadanie upowszechniania twórczości literackiej i podnoszenia jej poziomu w taki sposób, by ta twórczość stała się istotnym i ważkim współczynnikiem przemian ustrojowych, społecznych i kulturalnych, jakie zachodzą dziś na ogromnych obszarach Chin Ludowych. Tego wymaga od pisarzy chińskich obecna sytuacja ich zbudzonej do nowego życia ojczyzny, ten kierunek wskazuje im Partia Komunistyczna—przewodniczka sprawy wyzwolenia i odrodzenia narodu.

Wśród pokaźnej ilości przekładów polskich z literatury chińskiej pod względem zakresu tematycznego pozycje przekładowe z literatury chińskiej można podzielić na trzy zasadnicze kategorie: pierwsza z nich dotyczy okresu czasów Kuomintangu, okresu nędzy i krzywdy mas ludowych, wciśniętych w miażdżące tryby przemocy reakcji rodzimej i obcych imperialistów; drugi zespół tematów obejmuje długie lata walk narodowo - wyzwoleńczych, prowadzonych przez Armię Ludową pod kierownictwem partii Mao Tse-tunga: trzecia wreszcie jest już związana z problemami i zadaniami przebudowy, stojącymi przed wolnym narodem chińskim po historycznym jego zwycięstwie nad imperializmem.

*

Ojcem chrzestnym postępowej i realistycznej literatury chińskiej był znakomity pisarz — Lu Sün (1881 — 1936), zwany zaszczytnym mianem: „chiński Gorki".

Lu Sün odbywał studia w Japonii, później wykładał na uniwersytecie w Pekinie, skąd zmuszony był uchodzić na skutek prześladowań kuomintangowskich.

Działalność literacka Lu Süna przypadła głównie na lata 1918 — 1926: był on przywódcą i inspiratorem bojowej grupy pisarzy, którzy postawili sobie za cel zerwać stanowczo z obumarłymi kanonami dawnej tradycji literackiej i tworzyć nową literaturę nie dla jakiejś klasowej elity, lecz dla ludu, w myśl jego potrzeb, dążeń, zainteresowań.

Lu Sün był wielbicielem literatury rosyjskiej; przetłumaczył m. in. „Martwe Dusze" — Gogola i „Klęskę" — Fadiejewa. Był też wiernym przyjacielem Chińskiej Partii Komunistycznej, wspomagał jej walkę swoim świetnym piórem, siłą swego autorytetu i pisarskiego oddziaływania przyczyniał się do zwycięstwa ludu pracującego. Mao Tse-tung powiedział o Lu Sünie: „Był to najbardziej sprawiedliwy, najbardziej nieugięty, najbardziej oddany, najbardziej płomienny, największy bohater narodowy, który w trudnej, lecz zwycięskiej walki przeciwko ciemiężycielom.

*

Wybitny nowelista — Lao Sze (ur. w r. 1898) należy, obok Lu Süna, do czołowych przedstawicieli współczesnej literatury chińskiej. Reprezentując starszą generację pisarską, Lao Sze — podobnie jak Lu Sün — rozpoczynał działalność literacką w warunkach reżimowego ucisku i wespół z Lu Sünem walczył o nową — realistyczną i ludową literaturę chińską.

Polskie wydanie Lao Sze składa się z pięciu pozycji: pierwsza z nich — tytułowa „Ryksza"[2]) jest rozbudowana tak szeroko, że właściwie sięga rozmiarów powieści. Treścią jej

Czou-Yang. Robotnicy pekińscy otrzymali nowy Dom Kultury.

imieniu większości narodu przypuścił szturm na pozycje wroga na froncie kultury".

Wydany w języku polskim zbiór opowiadań[1]) Lu Süna zawiera kilkanaście pozycji, których treścią jest nędza, upośledzenie i zacofanie kulturalne ludu chińskiego pod panowaniem Kuomintangu.

Zainteresowanie autora i jego serdeczne współczucie budzą ludzie biedni, wyzyskiwani, nieszczęśliwi, chorzy, wykolejeni w warunkach niesprawiedliwości społecznej — oraz dzieci, najbardziej bezbronne ofiary tych warunków ustrojowych. Niektóre opowiadania mają charakter autobiograficzny (np. „Pierwsze kroki"); Lu Sün ukazuje tu trudności drogi postępowej inteligencji, skazanej w czasach kuomintangowskich na niedostatek materialny, utrudnienia w działalności zawodowej i prześladowania ze strony reakcyjnej władzy. Do najlepszych opowiadań zbioru zaliczyć należy „Lekarstwo", „Jutro", „Wieś rodzinna", „W małej karczmie", gdzie z ujmującą prostotą i oszczędnością środków wyrazu autor przedstawia niedolę prostego człowieka, nie zdającego sobie jeszcze sprawy z możliwości i konieczności podjęcia

[1]) Lu Sün. Opowiadania. Tłumaczyli z chińskiego Olgierd Wojtasiewicz, z rosyjskiego Wanda Kinalcz. — Warszawa, „Czytelnik", 1953, str. 208.

walki przeciwko ciemiężycielom.

Opowiadania kilku młodszych autorów chińskich, zebrane w tomie pt. „Liu Siao-tsi staje się człowiekiem"[3]) odzwierciedlają trzy doniosłe okresy z życia narodu chińskiego: walki z najazdem japońskim, wojnę wyzwoleńczą przeciwko Czang Kai-szekowi i jego amerykańskim protektorom oraz okres budowy nowego ładu pod kierownictwem klasy robotniczej i jej „szturmowej brygady" — Partii Komunistycznej. Motywy tematyczne tych opowiadań obrazują ciężki los mas ludowych, oddanych na łup wyzysku obszarników i samowoli kuomintangowskiej zgrai urzędniczej, budzenie się świadomości rewolucyjnej wśród gnębionego od wieków ludu, bliskość i ścisłość powiązań między Armią Wyzwoleńczą i klasami pracującymi, wreszcie — radość zwycięstwa i potężny, niezmordowany wysiłek reformatorski wyzwolonego narodu, wysiłek żmudny i niełatwy, któremu towarzyszy przełamywanie w duszach ludzkich pojęć, przesądów i nieufności z czasów niewoli.

Rewolucyjną treścią nasycone są „Opowiadania chińskie"[4]): tom zawiera osiem pozycji pióra pięciu autorów. Opowiadania ich mają częściowo charakter pamiętnikarski, a bohaterami ich są robotnicy, budujący i odbudowujący zakłady przemysłowe, chłopi, obdarzeni ziemią dzięki reformie rolnej, wyzwoleni z jarzma lichwiarskich „czynszów" i coraz bardziej świadomi dobrodziejstw kolektywizacji; młodzież, szybko krocząca drogami społecznego awansu; wreszcie — żołnierze, pełni patriotycznego ducha oraz wierności i oddania sprawie rewolucji. W niektórych opowiadaniach donośnie i czysto brzmi nuta braterskiej solidarności w stosunku do walczącego narodu koreańskiego. Przebija też z opowiadań głęboka miłość ludu do Partii Komunistycznej i wodza Ludowych Chin — Mao Tse-tunga, oraz wdzięczność dla Związku Radzieckiego, który wyzwolonemu narodowi chińskiemu użycza wszechstronnej pomocy i poparcia przy budowie szczęśliwej socjalistycznej przyszłości.

*

Zbiór opowiadań Liu Paj-ju[5]) oparty jest na tematyce wyłącznie batalistycznej. Młody, utalentowany autor przez szereg lat przebywał jako korespondent na frontach Armii Wyzwoleńczej, stąd upodobanie i znajomość tematów żołnierskich. Podkreślając męstwo i wytrwałość żołnierza ludowego, Liu Paj-ju przeciwstawia mu kuomintangowskich i japońskich najmitów, nacechowanych umysłową tępotą, okrucieństwem i tchórzostwem. Tematyce wojennej poświęcony jest również tomik zatytułowany „Towarzysze broni"[6]), gdzie zamieszczono opowiadania pięciu autorów.

Bolesław Dudziński

[2]) Lao Sze. Ryksza i inne opowiadania. Tłumaczyli: z jęz. angielskiego Bolesław Miga, z jęz. angielskiego i chińskiego Olgierd Wojtasiewicz, Warszawa, „Czytelnik", 1953, str. 320.

[3]) Liu Siao-tsi staje się człowiekiem Opowiadania. Przełożył z jęz. rosyjskiego Józef Brodzki. — Warszawa, „Książka i Wiedza".

[4]) Opowiadania chińskie. Przełożył z jęz. angielskiego Stanisław Sienki. — Warszawa, „Książka i Wiedza", 1952, str. 144.

[5]) Lu Paj-ju. Trzej żołnierze. Opowiadania chińskie. Tłumaczył z przekładu rosyjskiego Jerzy Olbricht — Warszawa, MON, 1951, str. 76.

[6]) Towarzysze broni. Opowiadania chińskie. Tłumaczyli: z chińskiego Michał Derenicz, z rosyjskiego Jerzy Olbricht. — Warszawa, MON, 1951 — str. 88.

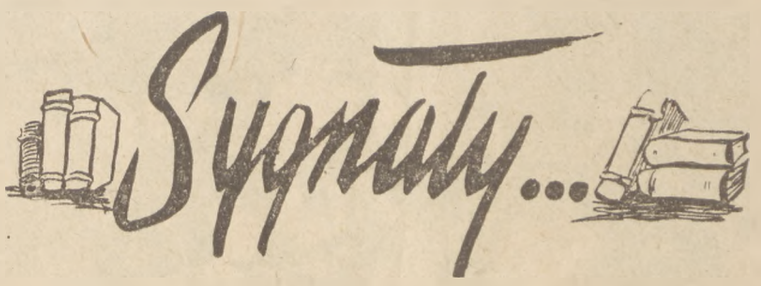

Życiorys prostego człowieka

„Życie prostego człowieka" jest autobiografią P. Ignatowa. Zmienne i burzliwe przeżycia osobiste autora są obrazem historycznych przemian rosyjskiej klasy robotniczej, jej walk, zawartych w ramach prawie półwiecza, wysiłków i zwycięstw.

Autor pamiętnika, który swą życiową drogę rozpoczynał jeszcze przed pierwszą wojną światową jako petersburski robotnik i członek partii bolszewickiej, jest niewątpliwie „prostym człowiekiem" ale z rodu tych prostych i zarazem niezwykłych ludzi, którzy własnymi rękami, własnym zapałem, wytrwałością i trudem budowali pierwsze w dziejach świata państwo socjalistyczne, umacniali jego podstawy i wiązania, zabezpieczali jego rozwój, wzrost i potęgę.

Proste, bezpretensjonalne słowa życiorysu Ignatowa dają świadectwo wielkiemu bohaterstwu, dalekiemu jednak od wszelkiej pozy i patosu, od chęci wynoszenia własnych zasług ponad czyny i postępki innych.

Z ujmującą skromnością pisze Ignatow o sobie w zakończeniu książki: „Gdybym miał rozpoczynać życie na nowo, nie dążyłbym do sławy, bogactw i zaszczytów, pragnąłbym jedynie więcej i lepiej służyć ojczyźnie..." To wyznanie nie jest tylko pięknym zwrotem retorycznym, lecz zawiera w sobie całą prostą i wzniosłą filozofię życiową autora.

Główną część książki Ignatowa wypełnia relacja o jego niezmordowanej i wielostronnej działalności w latach porewolucyjnych. Z polecenia władz partyjnych pełnił on najrozmaitsze, a zawsze bardzo odpowiedzialne, obowiązki organizacyjne. Ten aktywista partyjny — wzór odwagi, poświęcenia i siły charakteru — z jednakową sumiennością i energią wykonywał wszystkie postawione mu zadania: z bronią w ręku odpierał kontrrewolucyjne zamachy przeciwko młodej Republice Radzieckiej, gromiąc wrogów władzy robotniczo-chłopskiej; budował i wzmacniał organa administracji państwowej na terenach wydartych wrogom ludu pracującego; uruchamiał zamarłe fabryki i nadawał rozmach produkcyjny źle kierowanym, pozostającym w tyle zakładom; pracował wydatnie przy kolektywizacji rolnictwa; był dowódcą oddziału partyzanckiego w latach hitlerowskiego najazdu; wreszcie po zwycięstwie nad wrogiem, stanął znowu na odpowiedzialnych posterunkach odbudowy socjalistycznej ojczyzny.

Wieloletnia, wytężona działalność komunisty Ignatowa nie była zamknięta w granicach jakiegoś jednego, określonego rejonu. Pracował i walczył na rozmaitych terenach Związku Radzieckiego — na Uralu i na Kubaniu, nad Wołgą i na Ukrainie, na Kaukazie i w białoruskim Smoleńsku. Ten kalejdoskopowy niemal bieg życia Ignatowa przydaje jego wspomnieniom narracyjnej żywości i barwności.

Są w tych wspomnieniach jeszcze dwa momenty, których nie sposób pominąć w pobieżnym choćby sprawozdaniu. Podkreślić trzeba mówiąc o Ignatowie tkwiący w nim zawsze własny i nieprzeparty pęd do wiedzy, do nauki, do zdobywania i rozszerzania wiadomości ogólnych i fachowych. W rzadkich chwilach względnego spokoju i wypoczynku jedną z najgłówniejszych trosk Ignatowa staje się uzupełnianie posiadanej wiedzy, przerabianie kursu zakładów naukowych coraz wyższego stopnia.

Drugim, ważkim i godnym zaznaczenia motywem pamiętnika Ignatowa jest życie rodzinne autora, oparte na wzajemnej miłości, szacunku i zrozumieniu się wszystkich członków tej zwartej i zahartowanej rodziny komunistycznej. Żona Ignatowa — wierna i mężna towarzyszka bojownika-rewolucjonisty — to postać nieprzeciętna. Synów wychowała w atmosferze ofiarności i poświęcenia dla socjalistycznej ojczyzny. Dwóch poległo bohatersko w partyzantce antyhitlerowskiej, trzeci złożył daninę krwi na froncie walki z najeźdźcą.

Życiorys Ignatowa jest w całym tego słowa znaczeniu dziełem reprezentatywnym. Ignatow bowiem w swych najcenniejszych rysach, zaletach i właściwościach uosabia typ człowieka radzieckiego, który w zwycięskim pochodzie do komunizmu zapomniawszy dawno wyrazu „niemożliwe" łamie wszelkie trudności i przeszkody.

Tacy właśnie jak Ignatow, — a jest ich miliony — są twórcami pierwszego na świecie państwa socjalistycznego, są symbolem nowego, wielkiego rozdziału dziejów, którego sensem i treścią będzie wyzwolenie człowieka i wolność narodów, socjalizm i pokój.

B. D.

*) P. Ignatow — „Życie prostego człowieka". Warszawa 1953. Wyd. MON.

Książka - przestroga

Bohater opowiadania Sznaper-Zakrzewskiej: Karol Pień jest nałogowym alkoholikiem. Alkoholizm ten doprowadził go do choroby. Karol Pień zostaje umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach. Przyczyną nałogu Karola są ciężkie warunki jego życia (syna furmana i wyrobnicy) w okresie kapitalistycznego bezrobocia, w szczególności zaś zawód spotkany na drodze marzeń o karierze aktorskiej. Wprawdzie z życiowego punktu widzenia ani jedno ani drugie nie wydaje się być dostatecznie uzasadnioną przyczyną nałogu, nie umniejsza to wszelako zasług Zakrzewskiej, która podjęła bardzo potrzebny i nie poruszany dotąd w tej formie literackiej temat walki z nałogiem alkoholizmu, nałogiem do dziś dnia jeszcze niestety stanowiącym „chorobę społeczną". Książka jej oddaje duże usługi każdej kobiecie, organizacjom społecznym, działaczom komitetów antyalkoholowych, a nawet samym... alkoholikom, którzy dowiedzą się z niej, do jakich smutnych skutków doprowadza ten nałóg i jak należy z nim walczyć.

Wysokie walory beletrystyczne zbliżają opowieść do noweli, ukazując w nowej, o ileż bardziej atrakcyjnej i skuteczniejszej wersji oklepany setkami nudnych broszur i ulotek temat. Ze spokojnej bezczynności szpitalnego życia autorka potrafiła wydobyć maksimum dramatycznego napięcia, rozwijając trudny i niezwykle skomplikowany proces psychologicznego i moralnego odrodzenia człowieka, zwrócenia go normalnemu życiu i działaniu. Uchwycenie sprawy alkoholizmu w jego patologicznym już etapie pozwoliło z jednej strony ukazać krańcowe jego skutki, z drugiej zaś — jaskrawiej zarysować sprawę rehabilitacji Karola, który z fatalistycznego przekonania, że z drogi, na którą wkroczył „nie ma powrotu" dopracowuje się optymistycznego wniosku, że może stać się człowiekiem, „który będzie mógł podjąć nowe życie".

Bezpretensjonalna działalność lecznicza dr Wiktora jest trafnym ucieleśnieniem moralnych wartości pracowników ludowej służby zdrowia. Socjalistyczna zasada, że najwyższym celem jest dobro człowieka, z równą jak gdzie indziej konsekwencją stosowana jest w lecznictwie chorób psychicznych, gdzie chodzi o likwidację straszliwych skutków nałogów i wstrząsów wojennych. Tytułowy bohater książki jest tym wymownym potwierdzeniem. W przeciwieństwie do lekarzy burżuazyjnych, nie wychodzących poza ściśle lekarską terapię — dr Wiktor nie ogranicza się do zastrzyków i receptury leczniczej; prowadzi nadto ze swym pacjentem wyczerpujące rozmowy, interesuje się jego osobistym życiem, stara się zainteresować pracą, wciąga go do zespołu teatralnego zakładu i zabezpiecza mu przyszłą karierę sceniczną. Według dra Wiktora nie są to elementy pozamedyczne, bo nawet sentyment Karola do teatru jest istotnym składnikiem jednej, wszechstronnej terapii lekarskiej.

Cenna umiejętność beletryzowania i stapiania z akcją elementów odautorskiego komentarza pozwoliła autorce zainteresować czytelnika nawet z tak zdawałoby się „menierską" dziedziną, jaką jest cała skomplikowana receptura lecznicza. Jest to bardzo ważne, bo czytelnik może poznać nie tylko powody i skutki nadmiernego opilstwa, lecz także system leczenia. Widzi on, że antyalkoholowa terapia tworkowskiego zakładu nie ma nic wspólnego z wyimaginowaną legendą „tortur średniowiecznych", biciem, „kaftanami bezpieczeństwa", czy zimnymi prysznicami, z wszelkimi uprzedzeniami wynikającymi z magicznego słowa „Tworki". Nie trzeba chyba dowodzić, jakie to ma znaczenie dla zachęcenia alkoholików do leczenia swego nałogu.

Rzetelną znajomość przedmiotu zdradza Zakrzewska w opisie choroby Pienia. Ale właśnie w owym mieniu że chirurgicznym znawstwie patologii pijackiej kryje się tak charakterystyczna dla twórczości Zakrzewskiej i nieprzezwyciężona przez nią do końca — naturalistyczno psychologiczna manlera, zacierająca ostrość postawionego przez nią problemu. Osłabia go również leżący na uboczu od głównego nurtu wydarzeń książkowych wątek z Joanną Witkowską, który mógłby być z powodzeniem pominięty, gdyż dosłownie nie wnosi niczego do charakterystyki zagadnienia książkowego.

Szkoda również, że Zakrzewska potraktowała alkoholizm nie jako problem społeczny, lecz prawie wyłącznie jako problem moralny. Szkodliwe konsekwencje nałogu ograniczyła do kręgu zagadnień ogniska domowego i rodziny. Wiemy, że Karol jest złym mężem i ojcem, bije żonę i dzieci, potrafił sprzedać na wódkę ostatnie buciki swego dziecka. Nie wiemy zgoła nic o skutkach jego nałogu w pracy, o szkodach jakie swą postawą przynosi zakładowi pracy i Państwu Ludowemu (bo przecież trudno przypuścić, by alkoholik mógł być dobrym pracownikiem). Towarzysze z fabryki wzbraniają się przyjąć go do pracy, ale źródłem tego lęku jest tylko tradycyjne uprzedzenie do wszelkich pacjentów... z Tworek. Niewątpliwie pokazany przez autorkę sam rozkład moralny życia rodzinnego alkoholików stanowi nader mocne i skuteczne uderzenie w nałóg, dostateczną przestrogę. A o żywą, wstrząsającą przestrogę chodzi!

Ryszard Hładko

*) Stanisława Sznaper-Zakrzewska „Dr Wiktor dyżuruje", Warszawa 1953, „Czytelnik".

ZOFIA WOŹNICKA

W imię straconego dzieciństwa *)

Wiele już ukazało się książek, które zaliczyć można do grupy — porachunków z międzywojennym dwudziestoleciem. Pisano o życiu uniwersyteckim, o życiu robotnika. Powieść Natalii Rolleczek jest jeszcze jednym porachunkiem. Natalia Rolleczek protestuje w imię straconego dzieciństwa.

Książka Natalii Rolleczek jest zbiorem opowiadań. Nie można jednak nie zauważyć więzi — i to nie tylko więzi tematycznej między tymi, pozornie luźnymi fragmentami. Można by je nazwać — *Kartki z jednego życia.* Bo też nie kolejność chronologiczna jest tu istotna; ważny jest proces dojrzewania bohaterki, który śledzimy poprzez wszystkie opowiadania; i ważne jest narastanie siły oskarżenia konsekwentnie i pod tym samym adresem skierowanego we wszystkich opowiadaniach.

Opowiadanie pierwsze pt. „Litość" wprowadza nas w atmosferę całej książki: poznajemy rodzinę bohaterki, pogrążoną w nędzy, typową rodzinę proletaryzowanych przez bezrobocie drobnomieszczan. W kraju gdzie nie było prawa do pracy, nauki, leczenia, jednym słowem — w kraju kapitalistycznym — bezrobocie było tragicznym ciężarem, który przygniatał dzieciństwo małej Tali. Jego wynikiem jest choroba i nędza. Ucieczkę przed tymi zmorami matka bohaterki widzi jedynie w miłosierdzu jaśnie hrabin. Opowiadanie kompromituje tę filantropię, wszystkie złudzenia dziewczynek rozpadają się w czasie wymarzonych wakacji u dobroczynnej baronowej. Marzenia o pięknym wypoczynku przepadają, dzieci przestają wierzyć w dobre serce łaskawych wyzyskiwaczy. Tam, właśnie, na tych — wymarzonych wakacjach — mała Tala uczy się kłamać.

Pełne gorzkiego humoru jest zakończenie opowiadania: oto baronowa, zaniepokojona złym stanem zdrowia dziecka, które przecież sama wzięła pod opiekę, daje dziewczynce, chorej na gruźlicę, puszkę ovomaltiny — na dalszą drogę życia.

Na podobnym motywie opiera się drugie opowiadanie: terenem akcji jest Klub Młodych Polek, stowarzyszenie dla pracujących dziewcząt pod patronatem hrabianki Krystyny i innych tzw. pań z towarzystwa. Oczywiście cała „akcja społeczna" tych dam ma na celu tylko utrzymanie ubogich dziewcząt w niewiedzy i osamotnieniu, nie dopuszczanie ich i odciąganie od prawdziwych związków robotniczych. W Klubie Młodych Polek panuje ta sama, co i w domu „dobroczynnej" baronowej atmosfera perfidii tym razem — politycznej i obłudnej, jaśniepańskiej łaskawości. W tej atmosferze łamią się charaktery; jedne spośród dziewcząt stają się cyniczne, jak Ludwika, inne próbują walczyć. Tragiczny protest Łucji, wybitnej dziewczyny, która buntuje się przeciw narzuconej sobie roli biernego pionka, jest tematem opowiadania. Łucja daremnie stara się pociągnąć za sobą koleżanki z klubu. Stawiając sprawę stosunków w Klubie Młodych Polek w centrum swoich zainteresowań Łucja w tych warunkach skazana jest na zagładę; toteż rację ma Ludwika, tłumacząc jej: — „Bawi mnie ta mina serio, z jaką nadobna Krystyna traktuje swój klub. A tobie, Łucjo, mówię z całym namaszczeniem: Nie szarp się na daremno! Kogo ty chcesz przekonać i zapalić? Jakie dziewczęta? Przypomnij sobie tylko, dla kogo one pracują i z czego żyją? Obcinają paznokcie eleganckim paniom, usługują im przy ladzie, ondulują włosy, robią masaże, łapią oczka w pończochach. Krystyna wiedziała, dla kogo zakłada klub. Wykazała w tym nie lada przenikliwość! Żadna taka nie zbuntuje się przeciwko eleganckiej pani, której potrzeby dają jej utrzymanie..." (str. 98).

Ostatecznie dochodzi do katastrofy. Łucja recytuje na oficjalnej akademii, przed licznie zgromadzonymi paniami i panami ze sfer rządowych wiersz rewolucyjny — ta próba buntu, to w istocie żałosny protest zagubionej dziewczyny przeciwko otaczającej ją rzeczywistości, przeciwko światu sytej burżuazji. Rozpaczliwe wystąpienie Łucji jest jednak dowodem, jak wielkie zatoczyło kręgi wrzenie rewolucyjne, jak kruche były podstawy ustroju skoro „na własnym terenie" przenikliwa Krystyna spotkała się z takim wyzwaniem.

Szaleństwo Łucji jest mniej przekonywające, tchnie teatralnością w tej, tak bardzo nie teatralnej, powstałej z życia książce.

W Klubie Młodych Polek smaga autorka ironią wyższe sfery, budzi w czytelniku głęboką, pełną współczucia sympatię dla oszukanych dziewcząt. W ostatnim opowiadaniu żywej, trzeźwo na świat patrzącej Tali przestała towarzyszyć gorączkowo poszukująca właściwej drogi Łucja. Teraz, kiedy akcja filantropijna została skompromitowana, a imprezy społeczne, tworzone przez przedstawicieli klas rządzących dla ludu — rozszyfrowane, ostatnie opowiadanie zwraca się ze szczególną pasję w kierunku tego, co nazywamy tłem obyczajowym. W „Drewnianym Różańcu" ukazuje autorka warunki życia dzieci powierzonych opiece społecznej, a więc istot, nad którymi państwo winno roztoczyć szczególnie pieczołowitą opiekę.

W „Drewnianym Różańcu" jest sporo szczegółów, mogących usprawiedliwić posądzenie o naturalizm. Jednak zarzut ten, w dużej mierze może być odparty: owe szczegóły służą oddaniu atmosfery tego domu nędzy (zakład utrzymuje się z własnych, wyżebranych przez wysyłane po kweście dzieci, funduszów). Zresztą nie niedostatek materialny jest tu najważniejszy (przypomnijmy sobie, w jak trudnych warunkach materialnych tworzył swoje zakłady wychowawcze Makarenko, (najważniejsza jest aura moralna. Dzieci, nad którymi państwo ma obowiązek roztoczyć opiekę, sieroty (jak świetnie operuje autorka tym słowem, wyrażającym wzgardę okrutnych opiekunek, dla powierzonych im dzieci) są traktowane tak, jakby były zbędnym balastem. Cały system wychowawczy zmierza konsekwentnie do tego, aby im wpoić przekonanie, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości, niesprawiedliwość będzie ich udziałem i należy znosić ją z jak największą słodyczą i pokorą. Z powodu biedy sierocińca, który na domiar złego jest okradany, dzieci muszą spełniać najczarniejsze, przerastające ich siły roboty, przy tym praca, traktowana jako poniżająca kara, jest jeszcze jednym sposobem upokarzania wychowanek. W ten sposób zakład wychowawczy staje się ważnym ogniwem systemu, który ma ludzi pracy izolować i czynić z nich uległe roboty. Dlatego też ma głęboki symboliczny sens spotkanie małej, udręczonej dziewczynki i z zapomnianego sierocińca — z głową państwa, w którym takie sierocińce były możliwe.

Utwór Natalii Rolleczek jest pozycją wybitną. Jest to rzadka w naszej literaturze książka, w której dzieci żyją naprawdę. Niezwykły zmysł obserwacyjny, styl giętki, zaprawiony goryczą humor — pozwalają autorce stworzyć wizję, oddać klimat opisywanych środowisk.

Kompozycja jest słabsza — opowiadania ujęto w ramy wyłącznie chronologiczne, razi zbyt często stosowanie tego samego chwytu — przypadkowego podsłuchiwania. Jest to zresztą typowe niedociągnięcie debiutu.

Pozostaje życzyć, żeby — po wypowiedzeniu z pasją tego, co jej na sercu leżało o przeszłości — pisarka zwróciła swoje baczne oko na szersze kręgi życia i równie trafnie i prawdziwie, jak opisała tragedię udręczonego w złym ustroju społecznym dziecka, opisała budzenie się i powstawanie nowego życia.

Zofia Woźnicka

*) Natalia Rolleczek — Drewniany Różaniec — Wyd. Iskry. 1953, red. Maciej Słomczyński, str. 283).

W dniach 3 — 5 lipca w hali Gwardii w Warszawie, odbyły się eliminacje centralne zespołów muzyki, pieśni i tańca. Wśród najlepszych zespołów młodzieżowych, wyłonionych w eliminacjach powiatowych i wojewódzkich — był regionalny zespół góralski z Kościelisk, wykonujący swój popisowy taniec góralski.

ANIELA DASZEWSKA

NA SKALNYM PODHALU

Mieczek Cholewa, baca beskidzki, słynny gawędziarz i pieśniarz góralski.

W bok od szosy, biegnącej środkiem Doliny Kościeliskiej, rozpoczynają się pierwsze drewniane domy wsi Kościelisko. Na żerdziach charakterystycznego w górach ogrodzenia siedział mały chłopiec i jakby witając nielicznych przechodniów wyśpiewywał na całe gardło. Dobiegała do mnie skoczna melodia „krzesanego":

Hej z góry jadę, z góry jadę,
zbiram dziwki, na wóz kładę!
Nazbierałek całą furę,
przyszedł diobeł wtrzepał w dziure...

Mały pohukiwał na końcu każdej strofki, jak to jest w zwyczaju górali, zadowolony z efektu, jaki sprawia na młodszych dzieciakach, towarzyszących mu w tym śpiewaniu. Z obory wyszła kobieta i wycierając ręce po doju zawołała z uśmiechem: „Właduś, synusiu, to ci śpiwak wielgachny, nie spodziejes sie, a tate przeskocy w muzykowaniu. A tata ci jus sykuje, synusiu, złubcaki maluśkie, co byś na nich mog w świetlicy grywać!

Musisz, synu, podrosnąć krzyne, co byś dał radę brodą je choć przytrzymać"...

Było to pierwsze moje spotkanie z rodziną Chotarskich, słynnych muzyków podhalańskich. Stanisław Chotarski jak każdy góral jest nie tylko muzykiem, ale i nie lada gawędziarzem. Rozgadał się na dobre i zaczął opowiadać o dawnych czasach, o zbójnikach, którymi się chlubią górale, o legendarnym Janosiku i wielkim gawędziarzu i grajku — Sabale.

Opowiadając mi góralskie historie obserwował, jakie też one robią wrażenie na warszawskim słuchaczu — czy powtórzy się stare „ceprowskie" zainteresowanie wyłącznie egzotyką gór. Podhale... kraina wielkiej przygody, gdzie dreszczyków wzruszenia dostarczały zbójnickie tańce z ciupagami, gdzie pisano całe tomy na temat haftowanych portek góralskich i nieśmiertelnej guńki.

Ale obok tego fałszywego obrazu Podhala istniała ziemia uboga, skalista, z której plon trzeba było wydzierać pazurami. Dawni górale nie mogli wyżyć w cieniu „gór ojczystych". Dlatego też dotychczas najbardziej żywa na Podhalu jest legenda o Janosiku — królu zbójników. Opowieści o tym, jak to Janosik chadzał na orawskie zamki, a zagrabione stamtąd klejnoty i bogactwa biednym rozdawał — są świadectwem, że w gadkach i legendach, w których bujnie krzewi się element baśniowy, przewija się raz po raz wątek społeczny, powraca wątek walk klasowych ludu podhalańskiego. Chotarski dobrze pamięta rodzinne wspominki, jak panowie potrafili na śmierć chłopa zabatożyć za to, że nie chciał on, wolny góral, służyć w pańszczyźnianej ojczyźnie.

W nędzy i poniżeniu rodziła się jednak wolna pieśń góralska, samorzutnie rozwijała się i krzewiła wśród całych pokoleń. Chotarski opowiadał, jak to jego ojciec i stryk, uczyli się grać i śpiewać przy robocie w młynie i w tartaku, przy budowie szosy, gdziekolwiek pracowali. W ten sposób stary Chotarski wyrósł na pierwszego muzykanta na całe Kościelisko i założył własną kapelę. W niej to, jak opowiada Chotarski, „mój ojciec grał „prym" (solista) stryk i brat na basach, a ja zaprawiałem się od mała na wiolonczeli. Taka to była nasza słynna kapela góralska... Ociec potem pomarł, brata i stryka zamordowali Niemcy, ja jeden tylko ostałem. I myślałek, że już nigdy grywać nie będę, bo za Niemców nie chciałek im grywać".

Ale obecnie Stanisław Chotarski, słynny muzyk góralski, nie tylko rozruszał stare, zesztywniałe palce, ale co ważniejsze, uczy także młodych grajków w świetlicy Domu Twórczości Ludowej w Kościeliskach.

* * *

Muzyka Podhala jest odrębna i posiada swoisty charakter, a tym samym stoi niezmiernie daleko od naszych pojęć o ludowej muzyce, a więc przeważnie śpiewanej pieśni mniej lub więcej ładnej, często rozlewnej i lirycznej. Muzykę podhalańską cechuje raczej aliryczność, konstruktywność form. Są to pieśni i melodie taneczne, marsze zbójnickie, rozwodne i krzesane. Niezwykłe bogactwo melodii i ich interpretacji, wybitne uzdolnienie do muzyki górali podhalańskich od dawna już zachwyciły polskich muzyków i artystów. Goszczyński pisał w 1853 roku w „Dzienniku Podróży do Tatrów": „Nieocenione skarby czucia i prawdziwej muzyki i sztuki leżą u naszego ludu góralskiego. W muzyce widzisz jego góry, ludne echami życia trzód, tchnące całą swobodą nieugłaskanej przyrody i wolnego mieszkańca". Szymanowski, wybitny znawca muzyki Podhala, jakże często odwiedzał starego grajka, Bartka Obrochtę, i z jego muzyki czerpał tematy i natchnienie dla swojej twórczości.

Kapela Chotarskich należała w latach trzydziestych do najlepszych na skalnym Podhalu, bo najwierniej odtwarzała piękno starych góralskich śpiewek i znała wiele nut po starym Sabale, krewniaku tej rodziny, którego zresztą Stanisław Chotarski ocenia jako słabszego muzyka, lecz za to świetnego gawędziarza, potrafiącego oczarować każdego swoimi gadkami „wodzeniem po wierszyckach".

Dzisiaj spotykamy na Podhalu zupełnie odmienne zjawisko. Muzyka podhalańska nabiera rumieńców życia, zaczyna odgrywać ogromną rolę w życiu kulturalnym górali. Zespoły świetlicowe Podhala nie próżnują. Występują one nie tylko w świetlicach i domach kultury, docierają również do domów wczasowych i turystycznych. Ludziom pracy, zjeżdżającym w góry na wypoczynek, dostarcza nowych, wspaniałych przeżyć nie tylko przyroda górska, ale i regionalna muzyka i sztuka.

Praca w świetlicach jest słusznie obraną drogą dla przekreślenia sztucznie tworzonego rezerwatu kultury podhalańskiej. Przygotowania na festiwal muzyki ludowej i festiwale młodzieżowe obudziły potężną falę zainteresowania się starą muzyką góralską, starym instrumentem i starym tańcem. Nie inspirowane przez nikogo, samorzutnie zrodziły się nowe zespoły grających na dawnych instrumentach muzycznych, jak np. kapela braci Maźników z Kościelisk. Ministerstwo Kultury i Sztuki przysłało nawet zespół fachowców, który miał pomóc w utworzeniu się góralskiego zespołu „Podhale" na wzór zespołu „Mazowsze" z zespołami: *muzycznym, pieśni i tańca, gawędziarskim, recytatorskim i dramatycznym.* W Domu Twórczości Ludowej projektowano również kształcenie młodzieży góralskiej w sztuce ludowej takiej, jak: hafciarstwo, koronkarstwo, a przede wszystkim w rzeźbie, tradycyjnej sztuce Podhalańszczyzny. Niektóre zespoły rozpoczęły już nawet pracę, ale brak odpowiedniego lokalu, a co ważniejsze, nieprzezwyciężone miejscowe antagonizmy i charakterystyczny dla górali brak dyscypliny — pozostałość po „wolnym zbijaniu" — spowodowały przerwanie pracy nad „Podhalem". Ale górale, naród ambitny, rozpoczęli szkolenie i nie dają za wygraną. W tym roku powstał Zespół Pieśni i Tańca w Dolinie Kościeliskiej. Na wyniki nie trzeba było długo czekać, bo o dobrej kolektywnej pracy świadczy nagroda otrzymana na eliminacjach przed festiwalem bukareszteńskim. Młodzieżowy zespół góralski z Kościelisk, reprezentujący folklor góralski, rozpoczął już nowy etap pracy kulturalnej na Podhalu.

W Domu Twórczości Ludowej w Kościeliskach nowa, urządzona w stylu góralskim, świetlica z ławami, zydlami, stołami rzeźbionymi w „leluje" i serca, wypełniona jest młodymi chłopakami, członkami kościeliskiego zespołu. Przyszli tu po całodziennej pracy na roli lub na licznych budowlach. Grają oni stare „nuty Chotarskiego", ulubioną piosenkę góralskich pasterzy.

Zagrajcie, zagrajcie skrzypecki z jawora,
nieg/ se zatańcuje kochanecka moja.
Zagraj mi muzycko wsyćkie ctery struny,
niek ja sie uciese, póki nie mom zuny...

Chłopcy półgłosem wtórują Chotarskiemu, wreszcie śpiewa cała świetlica na głosy delikatnie, żeby nie zagłuszyć skrzypiec.

Aniela Daszewska

JAN ONOPA

LUDZIE JEDNEGO POWIATU

Z Aleksandrem Dziemianiukiem, sołtysem gromady Miszuki (powiatu bialskiego na Białostoczyźnie) przegadaliśmy całą noc. Sołtys, nie wiedzieć ile razy podkręcał naftową lampę i równał knot.

Na stole leżały z jednej strony stosy kwitów, wykazów, sprawozdań — widomy znak władzy sołtysa; z drugiej sterta gazet i książek. A na samym wierzchu Boka — „Na Uralu".

— Ano, poczytuję sobie, jak czas pozwoli; sam też u radzieckich byłem, tylko że za Rewolucji Październikowej. Za cara wywieźli nas do Kujbyszewa, tam gdzie stawiają dziś wielką elektrownię. Wtedy była mała, pracowałem ładne lata przy elektryce...

Gdyby to nie mówił sołtys „zapadłej" gromady, nie byłbym może tak poruszony. Dziemianiuk wrócił do Polski, biedował na kilku ha zlej, piaszczystej ziemi. Ale nade wszystko agitował.

— Ze trzy razy zapowiadano mi „urlop" w Kartusberezie, alem jakoś wyszedł cało...

Dziemianiuk miał przed wojną swoich sojuszników; jakieś niezarejestrowane koło przyjaciół Związku Radzieckiego. Ci właśnie sojusznicy — biedota z Miszuk wybrała go na sołtysa. Tyle tylko, że teraz ludzie coraz więcej chcą wiedzieć o Kraju Rad.

— A co to ten Miczurin? Gruszki na wierzbie sadzi, czy jak? A co to ten trawopolny system Wiliamsa? A to, a tamto... No i trzeba było stale czytać, po kraju się ruszać, żeby wiedzieć co i jak.

Sołtys mówił spokojnie, ćmiąc wolno papierosa. Ale przecież to cały problem! Pobyt w ZSRR zobowiązuje, zmusza każdego, kto w tamtym kraju był do nieustannego pogłębiania wiedzy o socjalistycznym rolnictwie. Stąd też Dziemianiuk czyni takie wrażenie, jakby w przodującym kraju był dopiero wczoraj, a nie tyle lat temu.

„Zapadła" wieś Miszuki. Żadnych od kilku lat zaległości w wykonywaniu obowiązków wobec państwa.

Rozmowa nasza toczyła się na kilka dni przed Zjazdem Szczecińskim. Może dlatego powiedział mi sołtys, że jest delegatem. Dlatego też zapewne pokazał mi nieco zażenowany dyplom przodującego sołtysa. Otrzymał go w dzień Święta Odrodzenia Polski...

*

Nazarko przerwał pracę na mój widok. Jest to chłop niezwykle rozmowny i ogromnie ciekaw świata. Siedliśmy na świeżym pokosie. Część soczystej łąki nie była jeszcze skoszona.

Kilka lat temu z paszą, a więc i bydłem działy się tu rzeczy straszne. Nazarko zatacza ręką szeroki krąg, pokazuje ku Pulszom, Warpechom i Mieszukom.

— Gminna Rada nie Pan Bóg, trawa schła, boso ani przejść tak kłuła, krowiny marniały. Zabijało się toto, albo sprzedawało. Obornika też nie było.

Otóż Nazarko jest — jeżeli można się tak wyrazić — bohaterem od trawy. Pierwszy zwrócił się do Centrali Nasiennej w powiecie, pierwszy posiał łąki, a nawet rowek nawadniający sobie skombinował.

— Ludzie jak ludzie. Najpierw daj mu zobaczyć, a potem musi do ręki wziąć, to dopiero uwierzy. Głupia rzecz — trawa, a dopiero jesienią jak zoczył ten z tamtym, że się inwentarza nie pozbywam, a sąsiekowi do nieba niedaleko, dawajże wszyscy siać.

Gmina Wyszki zasłynęła tedy w okolicy z dobrej trawy i wysokomlecznych krów. A czołowy sprawca tego rozwoju siedzi skromnie na wonnym pokosie, patrzy mi spokojnie w oczy i powiada:

— Będziemy niedługo nowe domy stawiać; nasze pamiętają jeszcze pańszczyźniane czasy. Sołtys z Miszuk, Dziemianiuk, postawił pierwszy. Taki z planem. Ten plan zmajstrował mój starszy brat. To jest, człowieku, asystent Studium Biura Projektów w Białymstoku! Starczy mu głowy na całą gminę.

Przodujący sołtysi w trosce o dobro swojej gromady wiele czasu poświęcają zaplanowaniu robót jesiennych w polu. Zjazd szczeciński stał się dla nich nowym bodźcem do pracy, dostarczył wielu cennych wskazówek.

*

Przeleciałem wzdłuż i wszerz powiat Bielsk Podlaski. Masę tu hodują lnu i konopi. Do niedawna jeszcze len i konopie stanowiły podstawę przemysłu domowego. Nikt w tych stronach nie wybierał się do miasta po ubranie, bieliznę i pościel. Nawet i buty robiono we własnym zakresie. Jedynie kobietom, zwłaszcza ładnym, kupowano buty w miasteczkach, gdyż na wiejskiego szewca zbyt trudna to była robota. Kiedy po wojnie w Bielsku Podlaskim, Brańsku, czy Łapach pojawiły się na rynku tkaniny fabryczne, zanikły krosna w ciągu jednego roku, a jednak plantacja lnu i konopi znacznie wzrosła. Oto co może nowoczesna, wybudowana przez rząd ludowy roszarnia w Bielsku!

Ale, choć znikł ów drobny, użytkowy przemysł tkacki, istnieje inny — artystyczny.

Mieszkanie Wandy Kunickiej z Łubna Kościelnego — toż to prawdziwe cacko! Ściany wyłożone dywanami; na podłodze malownicze chodniki; obrus musi budzić uznanie nawet wybrednego widza. Czegokolwiek by się u Kunickiej nie tknąć, wszędzie widać pracę ludowego artysty. Serwetki pod kwiaty, ręczniki, a nawet... śliniaczki dla dzieci.

Przeszedłem szlak bialskich tkaczy. Byłem w Glinniku, Hodyszewie, Toporowie, Lizie, Pulszach, Samułkach, Nałogach, Stołowaczu, Mułowiczach, Miszukach i Łubnie. Nie zdarzyło mi się spotkać dwóch podobnych dywanów, czy obrusów. Każda gromada i każdy tkacz — to na swój sposób indywiduum twórcze, czerpiące z tego samego wprawdzie rezerwuaru tradycji, ale jakże indywidualnie!

Długi czas gwarzyłem z Zofią Daniłowicz. Jest to matka czworga dzieci. Każde z nich będzie artystą. Czego matka nie nauczy, dowie się dziecko w szkole białostockiej.

Problem tkactwa bialskiego nie polega na tym, aby „mistrzowie" strzegli zazdrośnie sztuki. Sztuka ich bowiem wyrosła na gruncie społecznym. Daniłowicz opowiadała mi o długich wieczorach, spędzanych nad ramą tkacką, kiedy ludzie snuli rozmaite opowieści. I oto w sztuce odbijają się, jak w lustrze, dzieje białowieskich myśliwców, echa walk powstańczych, krzywda chłopska, a nade wszystko zdumiewające bogactwo kolorów.

Jest jesień. Wybierzcie się sami na Białostoczyznę. Zaskoczy was pejzaż. Buczyna, olchy, świerk, dąb, jawor, rozłożysty klon, smukła topola, kolorowa jarzębina — z tych barw składa bialski tkacz swój pracowicie wykonany dywan.

Problem leży gdzie indziej. Jest to ruch wciąż jeszcze samorodny, bez szerszego zamówienia, bez zorganizowanego rynku zbytu. Nie to, co na Kielecczyźnie czy Podkarpaciu.

Daniłowicz sama wysunęła zagadnienie spółdzielni tkactwa ludowego.

— Bo to i zarobek będzie, a przede wszystkim większa wiedza o innych tkaczach i o kraju...

Jan Onopa

W rocznicę powstania I Międzynarodówki

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Sprawa Polski—sprawą proletariatu

Strzały, które rozległy się na ziemiach polskich w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r., rozbrzmiały głośnym echem we wszystkich zakątkach Europy. Okazało się, że sprawa, o którą walczyli Polacy, jest bliska robotnikom Londynu, Paryża, Brukseli, czy Turynu. Manifestowali oni we wszystkich większych ośrodkach przemysłowych, domagając się realnej pomocy dla bohaterskich powstańców.

13 lutego 1863 r., w liście do Engelsa, Marks pisze: „*Cóż powiesz na temat sprawy polskiej? Jedno jest jasne; w Europie znów mniej czy bardziej szeroko rozpoczęła się era rewolucji*". Tak samo, jak w okresie „Wiosny Ludów" bojowym zawołaniem proletariatu europejskiego staje się okrzyk „Vive la Pologne!" (Niech żyje Polska!).

Sytuacja rewolucyjna narastała. Inicjatywę w sprawi polityki międzynarodowej przejmowały masy ludowe. Zdawały one sobie sprawę z tego, że klęska polskiego powstania to wzmocnienie się caratu, a tym samym zwycięstwo reakcji w skali międzynarodowej.

Sprawa polska wchodzi na porządek dzienny burżuazyjnych parlamentów. Postępowi posłowie domagają się od swych rządów, by zajęły stanowisko wobec rozgrywającego się powstania.

W tej sytuacji gabinety europejskie, znajdując się pod podwójnym naciskiem mas ludowych i opozycji parlamentarnej nie mogły pozostać bezczynne. W kwietniu i ponownie w czerwcu 1863 r. zostają skierowane na ręce carskiego ministra Gorczakowa noty Anglii, Francji, Austrii i Włoch oraz mniejszych państw zachodnio-europejskich. Czy żądały one niepodległości dla Polski? Czy potępiały rozbiory? Bynajmniej. W dyplomatycznych frazesach wyrażały tylko nadzieje, że car przywróci Konstytucję Królestwa Kongresowego z 1815 r. i udzieli pełnej amnestii powstańcom.

Wśród not dyplomatycznych znalazł się również i odręczny list papieża Piusa IX do cara. W liście tym papież składał ofertę współudziału w tłumieniu powstania polskiego i żądał koncesji na rzecz hierarchii kościelnej, obiecując w zamian współpracę duchowieństwa z władzami.

W liście tym czytamy: „Prosimy Waszą Wysokość, by zechciała być przekonaną, że wszystko co uczyni dla spokoju Kościoła i honoru świętej religii, obróci się na dobro i korzyść państwa, i że rozciągając nad kościołem zdecydowaną opiekę, Wasza Wysokość będzie mogła liczyć na duchowieństwo..."

Treść not dyplomatycznych przekonała wszystkich przyjaciół Polski, że rządy europejskie nie zamierzają uczynić nic realnego, by wesprzeć powstańców. Należało wzmocnić nacisk mas ludowych. Należało gabinetowym intrygom przeciwstawić siłę, z którą się będą one musiały liczyć.

W latach sześćdziesiątych ruch robotniczy osiągnął już taki stopień rozwoju, że mógł powołać do życia międzynarodową organizację proletariacką, która stała się kierownikiem walki ekonomicznej i politycznej. Powstanie styczniowe przyspieszyło pośrednio tę akcję.

Podczas masowych wieców w Londynie i w innych miastach, urządzanych dla solidarności z polskim powstaniem, uczestniczą delegacje robotnicze z różnych krajów. 22 lipca 1863 r. na olbrzymi wiec robotniczy do Londynu przybyli również i delegaci z Francji, aby wspólnie zamanifestować w obronie Polaków. Specjalna delegacja udała się do ministra spraw zagranicznych Palmerstona i w stanowczych słowach domagała się nie deklaracji, ale czynów.

W czasie spotkań działaczy robotniczych Anglii, Francji i Niemiec, pod wpływem Marksa rozwija się myśl założenia I Międzynarodówki. Dyskusja w tej sprawie trwa na terenie związków zawodowych i uzyskuje ich aprobatę. Jesienią 1863 r. tworzy się w Londynie specjalny komitet robotniczy, który prowadzi zbiórkę pieniędzy na rzecz powstania, a równocześnie wydaje odezwę kończącą się słowami:

„Wskrzeszenie Polski — oto co powinno być nakreślone płomiennymi zgłoskami na sztandarze klasy robotniczej, po tym jak burżuazyjny liberalizm starł to sławne hasło ze swego sztandaru."

Niedostatecznie jeszcze skonsolidowany i zorganizowany międzynarodowy ruch robotniczy w okresie powstania styczniowego nie mógł wymusić na burżuazyjnych rządach realizowania swej polityki. Jednakże już wówczas pokazał na jakich zasadach będą opierały się stosunki międzynarodowe w okresie, gdy o nich zadecyduje proletariat.

28 września 1864 r., a więc już po straceniu przez cara ostatniego wodza powstania Romualda Traugutta*) do Londynu przyjechały delegacje robotników francuskich i niemieckich. W jednej z największych sal stolicy Anglii, w hali św. Marcina, odbył się olbrzymi wiec w celu powołania do życia organizacji robotniczej, która pokieruje ruchem w skali międzynarodowej. Liczni mówcy omawiali sytuację międzynarodową, cele i zadania stojące przed klasą robotniczą. Odczytano apel robotników francuskich do towarzyszy angielskich, który zaczynał się od słów: „Znowu zdławiono Polskę, a my zostaliśmy bezsilnymi widzami". Na wiecu tym przeciwstawiono solidarność klasy robotniczej obojętności i cynizmowi burżuazji, która porzuciła naród polski na pastwę przemocy.

Na wiecu tym byli obecni również Polacy. Chociaż nie znamy listy uczestników wiecu, ani pełnej listy mówców, możemy przypuszczać, że byli tam Konstanty Bobrzyński dawny działacz Towarzystwa Demokratycznego, związany z międzynarodowym ruchem robotniczym, Józef Ćwierciakiewicz i wielu innych.

O nich to właśnie wspomni Marks w liście przesłanym w 1880 r. do socjalistów polskich w Genewie, pisząc:

„Powstanie polskie 1863 r. dało sposobność do wspólnego protestu robotników angielskich i francuskich przeciw nadużyciom międzynarodowym ich rządów; było ono punktem wyjścia dla międzynarodówki założonej przy udziale wygnańców polskich."

Historyczny wiec w sali św. Marcina powołał do życia I Międzynarodówkę i wybrał jej pierwszy zarząd — Radę Generalną. Wszedł do niej skromnie wymieniony na samym końcu listy „Dr Marks" niezłomny przyjaciel Polaków i Polski, inicjator i organizator pierwszej międzynarodowej partii proletariatu.

Dzieło obrony sprawy wyzwolenia narodu polskiego kontynuowali po Marksie i Engelsie wielcy wodzowie proletariatu rosyjskiego i międzynarodowego Lenin i Stalin. Zwycięska Rewolucja Październikowa i historyczne zwycięstwo nad hitleryzmem przyniosły dwukrotnie wolność naszemu ludowi. Dzięki Związkowi Radzieckiemu naród polski uzyskał warunki dla budownictwa socjalizmu w naszym kraju. Na swej nowej drodze naród nasz spotyka się z wielkim i bezinteresownym poparciem radzieckiej klasy robotniczej, klasy robotniczej krajów demokracji ludowej i walczącego o swe wyzwolenie proletariatu krajów imperialistycznych.

Władysław Bortnowski

*) Traugutt wraz z 4 towarzyszami został stracony na stokach cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 r.

Biblioteki - Czytelnictwo - Rady Książki

TADEUSZ TOMKIEWICZ

WŚRÓD STAWIGUDZKICH CZYTELNIKÓW

Gdybyśmy oceniali ludzi ze Stawigudzkiej gminy według zdania kierownika gminnej biblioteki, musielibyśmy powiedzieć: „zacofany element".

Tymczasem...

„Dla dobra gminy" prezydium zadecydowało wyeksmitować bibliotekę z dawnego jej pomieszczenia na ciasne i ciemne poddasze. Lokal po bibliotece zajął delegat gminny Ministerstwa Skupu. A kierownik biblioteki niewiele sobie z tego robi. Wysnuł jeden tylko wniosek — do biblioteki nie ma po co przychodzić.

Jest on równocześnie komendantem SP, co oznacza pięć dni szkolenia w terenie, szósty — praca na miejscu. Na bibliotekę w tym rozkładzie wypadałby tylko jeden dzień w tygodniu. Ale nie wiadomo kiedy, bo komendant „ma wolne" raz w środę, raz w poniedziałek, to znowu w sobotę. Nic też dziwnego, że zarejestrowanych jako stałych czytelników spośród dorosłych jest aż... trzy osoby, to znaczy ci, którzy potrafią „złapać" komendanta w gminie, by zmienić książkę. Pozostali czytelnicy w liczbie 36 — to młodzież szkolna ze Stawigudy i Osocznika. Rzeczywiście — taka praca to kpina i marnotrawienie biblioteki. Jakże ocenić komendanta SP, który w pracy terenowej (5 dni) nie kontroluje punktów bibliotecznych, nie umacnia ich, nie radzi? Czy to nie potrzebne młodzieży z SP? Rozczytana młodzież, wychowana na pięknych wzorach literatury, ucząca się, organizująca życie świetlicowe — gorszy to czy lepszy materiał dla szkolenia w SP, dla dyscypliny, dla kolektywnej pracy? Czy SP poprzez junaków nie ma za zadanie oddziaływać na rodziców? Każdy komendant SP winien wiązać swą pracę z biblioteką i świetlicą. Ale komendant w Stawigudach, Banaś, tego nie czyni, choć jest... bibliotekarzem. Bardziej już na opak nie można.

*

W Rykach od dwóch lat istnieje świetlica, a przy niej punkt biblioteczny. Świetlica jeszcze jakoś „trzyma się"; z biblioteką gorzej. Założycielem i gospodarzem świetlicy i biblioteki jest Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Drzewnego przy miejscowym nadleśnictwie. Biblioteka świetlicowa posiada 254 tomy, ale w tym tylko 32 pozycje beletrystyczne. Reszta — 222 książki w kręgu — „Żywicowania drzew", „Najgroźniejszych szkodników leśnych", „Obstrzału zajęcy i kuropatw", „Pielęgnacji i ochrony drzew liściastych"... Rzeczy pożyteczne, ale zainteresowanych fachowców w Rykach może sześciu: leśniczy, dwóch gajowych i kilku robotników leśnych. Chłopom więc nie pozostaje nic innego, jak maszerować do biblioteki parafialnej, gdzie również „fachowy" księgozbiór: „Listy św. Hieronima", „Grzech żywota", „Znaki na niebie", „Cud w Barcelonie". Ale cuda i grzechy zawsze to ciekawsza lektura od pielęgnowania i pilowania lasów.

Taką to więc politykę prowadzi biblioteka Zaw. Z. P. Przemysłu Drzewnego: straszy chłopów naukowo - fachową książką, niezrozumiałą dla nich i niepotrzebną im i odsyła w rezultacie do parafialnej po „znaki na niebie".

A chłopi chcą naprawdę świeckich powieści, o czym świadczy karta „Hołoty" Kraszewskiego, którą przeczytało we wsi 15 osób, „W okopach Stalingradu" — 17, „Początek opowieści" Brandysa — 7, „Matki" Gorkiego — 12. Trzeba więc odwrócić stosunek „leśnej lektury" do powieściowej. Tej 222 a tamtej 32 i zabrać się do propagandy czytelnictwa!

Przy świetlicy gromadzkiej w Milenikach powstał zespół dobrego czytania. Świetlicowy Jerzy Karpiński zwerbował 16 osób. Jak szła praca? Zostało w końcu 3 uczestników.

Ale w III etapie na Konkurs Czytelników wpłynęło 9 prac. Jak się to stało: Tych trzech napisało 9 wypowiedzi.

W powiecie ani w gminie tak zwane czynniki kulturalne nic o tym nie wiedziały. Dopiero wylazło szydło z worka po zakończeniu III etapu, kiedy zespołowi przyznano nagrodę.

A gdzieżeście byli, aktywiści ZSCh, przez cały okres III etapu? Że kierownik zespołu ukrywał ten fakt, to jeden grzech, ale żeście wy zaniedbali zespół, to drugi i cięższy!

*

Punkt biblioteczny w Olszynach prowadził nauczyciel Stanisław Borek. Dowiedziawszy się, że po wakacjach nie powróci do Olszyn, chciał przekazać książki przewodniczącemu koła ZMP. Przy obliczaniu okazało się, że zamiast 160 tomów, jest 144. A gdzie, u kogo 16 brakujących tomów — Bóg raczy wiedzieć.

Przewodniczący nie przyjął więc książek. A nauczyciel klucz wraz z wykazem książek oddał do biblioteki powiatowej w Nidzicy. W rezultacie — od kilku miesięcy biblioteka nieczynna i ...nikt nie grzmi!

T. Tomkiewicz

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

U kaliskich bibliotekarek

Maria Kasprzak

Po objęciu funkcji kierownika gminnej biblioteki w Cekowie pow. Kalisz, Maria zabrała się do pracy z taką samą systematycznością, z jaką prowadziła poprzednio zawiłe wykazy w miejscowym GS. Wieczorami długo paliło się światło w wypożyczalni i jej skupiona twarz, otoczona gładko uczesanymi, siwiejącymi na skroniach włosami, schylała się nad księgą inwentarzową. Sprawdzała zgodność stanu faktycznego z zapisem.

Okazało się, że na półkach brak ni mniej, ni więcej, tylko... 280 tomów.

— Uparła się, że książki muszą wrócić do biblioteki. Będzie chodzić od domu do domu i w ten sposób niewątpliwie natrafi na ślad.

Pomogli czytelnicy, wskazując, gdzie się większe zapasy książek znajdują. Codziennie parę godzin poświęcała Maria na rewindykację dóbr kulturalnych.

Maria odnalazła 230 tomów. Niektóre pokreślone, gdyż dzieci się nimi bawiły, niektóre poważnie zniszczone. Cała „akcja" miała jednak i swoją dobrą stronę: oto kierowniczka poznała się bliżej z ludźmi, wysłuchała ich życzeń pod adresem bibliotekarki, porozmawiała o ulubionych autorach, zachęciła do czytania. Wtedy zawarte znajomości miały się niebawem jeszcze bardziej zacieśnić.

Tak więc w dniu otwarcia biblioteki Maria dysponowała w sumie 720 tomami, dwoma nieżywotnymi punktami bibliotecznymi poza Cekowem i 82 zarejestrowanymi czytelnikami. Był rok 1951.

Po porozumieniu się z miejscowymi władzami, Maria uzyskała swoisty przywilej: zawiadamiano ją o każdym, na terenie gminy mającym się odbyć zebraniu. Przed lub po obradach wygłaszała krótkie pogadanki — tak się to oficjalnie nazywało. W rzeczywistości zwracała się do zebranych i swym opanowanym głosem opowiadała, jakim to dobrym przyjacielem jest książka dla niej i jakim może być dla każdego.

Biblioteka była czynna przez cały dzień we wszystkie dni tygodnia. Chłopi pożyczali książki kiedy im było najwygodniej. Zachodzili chętnie, gdyż Maria umiała wybrać taką lekturę, że się każdemu podobała.

Wnętrze biblioteki aż zapraszało do wejścia: stale świeże kwiaty, estetyczne ozdoby, firanki. Przyjemnie posiedzieć.

Coraz bardziej rozszerzało się grono czytelników. Rada czytelnicza na szczeblu gminy, przez swych pełnomocników w każdej z gromad, czuwała nad pracą punktów bibliotecznych i przygotowywała grunt pod założenie nowych. Liczne wystawy przyciągały zwiedzających; nauczycielstwo organizowało zbiorowe wycieczki. Rosła liczba uczestników wieczorowych dyskusji nad książkami: „Matka" — 23 osoby, „Zaorany ugór" — 32, „Ludzie zza rzeki" — 50. Koło Gospodyń otrzymało nagrodę za udział w III etapie konkursu czytelniczego.

W drugą rocznicę rozpoczęcia pracy, Maria mogła podsumować swoje osiągnięcia. Książek miała 1643, pracowało 9 punktów bibliotecznych, czytelników stałych — 587. Urządziła 7 wystaw: dzieł Lenina i Stalina, klasyków literatury polskiej, literatury radzieckiej, dzieł Marksa i Engelsa, z okazji 410 rocznicy urodzin Kopernika, o spółdzielczości produkcyjnej i wystawę poświęconą planowi 6-letniemu oraz budowie Warszawy. Podczas tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy zorganizowała cztery kiermasze, na których rozprowadziła przeszło 600 książek.

We współzawodnictwie o podniesienie czytelnictwa między województwami: warszawskim, poznańskim i łódzkim w roku 1952 zajęła biblioteka gminna w Cekowie III miejsce, a jej kierowniczka otrzymała dyplom. Powód do radości nie byle jaki. Maria jednak o wiele więcej cieszy się z faktu, że gromada Kosmów, która posiada najwięcej przodowników czytelnictwa, wywiązuje się wzorowo z obowiązków wobec państwa. Oczy jej rozjaśniają się uśmiechem, gdy wylicza nazwiska:

— Lucyna Kozanecka, Władysław Zieliński, Józef Waszak, Józef Marciniak...

Odczytuje skrzętnie zanotowane cyfry: tyle i tyle książek wypożyczył, a odstawił tyle i tyle ponad plan. A potem, jakby się wstydząc swej pasji porównawczej, dodaje:

— Taka to już jest wieś ten Kosmów... Chciałabym już jak najprędzej we wszystkich gromadach mieć takich czytelników...

Maria Braszak

Kierowniczce gminnej biblioteki w Kamieniu, powiat Kalisz również imię Maria. Od swej koleżanki z Cekowa różni się jednak wiekiem: liczy dopiero 19 lat, a zaczęła pełnić swą funkcję mając 17.

Zaczęła od zorganizowania punktów, których prowadzenie oddała w ręce najgorliwszych czytelników. W ten sposób otrzymał 100-tomową bibliotekę PGR Dębe, gromady Biernatki i Krzyżówki, przy czym w dwóch ostatnich obok punktów stałych pracują także okresowe, na czas wakacji, zaopatrzone w książki młodzieżowe. Korzysta z nich młodzież przebywająca tam na koloniach letnich. W projekcie dalsza placówka — w Koźlątkowie.

Początkowo zarejestrowanych czytelników na całą gminę było zaledwie 90, z tego połowa „martwe dusze".

Maria rozpaczała. Początkowe niepowodzenia przypisywała swemu młodemu wiekowi, że doświadczenia jej brak i pewnie nie umie do ludzi podejść. Przyszedł z jej z pomocą ojciec, pracownik miejscowego PGR-u i zwrócił uwagę na to, że każdy chłop stara się wydobyć z ziemi jak największe plony. Stąd wniosek, że najlepiej doń trafić, wskazując mu konkretną drogę polepszenia gospodarki poprzez lekturę wydawnictw fachowych. Zainteresuje się lekturą tego rodzaju, to później chętniej sięgnie po beletrystykę.

Jakoż Maria posłuchała. Zgromadziła w bibliotece 350 broszur fachowych, urządziła ich wystawę i zaczęła agitować, podpatrując, jaką dziedziną zwiedzający interesują się najbardziej. Krupińskiemu dała o sadownictwie i przetwarzaniu owoców, Zofii Stasiak o wychowie kur, Nowakowi z Cierpiątki znów o uprawie konopi i hodowli gęsi, itd.

Wznowiła ongiś urządzane bez powodzenia wieczory głośnego czytania, na których dyskutowano „Jak hartowała się stal", „Pamiątka z Celulozy" i „Hela zostanie traktorzystką". Na ostatnią dyskusję przybyło już 35 osób i co najciekawsze — niemal wszyscy zabierali głos.

Równocześnie Maria rozpoczęła starania o odpowiednie pomieszczenie dla biblioteki. Dotychczas gnieździła się w małym pokoiku, dysponowała zaledwie jedną szafą (na 1750 tomów!), więc i tu wyłaniały się nowe trudności. Po wielu tarapatach GRN przyznała jej obszerny pokój w dawnym dworze w Moranie, znalazły się również fundusze na 7 regałów, więc Maria z pompą i paradą przyprowadziła się i urządziła wypożyczalnię, że proszę patrzyć! Nawet kącik na czytelnię czasopism się znalazł!

Zapytana o plany na przyszłość, Maria odpowiada:

— Chciałabym zająć pierwsze miejsce we współzawodnictwie między bibliotekami gminnymi...

— W kaliskim powiecie?

— Nie. Myślę o współzawodnictwie ogólnokrajowym...

Ireneusz Gwidon Kamiński

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

GRN — biblioteka — jej punkty

Gmina Słotwina nie jest ani lepsza, ani gorsza niż inne w powiecie świdnickim. Taka sobie średnia; gospodarcze plany państwowe wykonuje bez nadmiernego pośpiechu, ale i bez opieszałości. Z jeszcze większą powściągliwością rozwija się — powiedzmy to ze sporą dozą optymizmu — życie kulturalne gminy. No, bo jeśli za sprawy gospodarczo-administracyjne są w Prezydium GRN odpowiedzialni poszczególni referenci, to rozwój świetlic, bibliotek, i organizację imprez kulturalno-oświatowych — przerzuca się z jednego na drugiego Bogu ducha winnego referenta. I nigdy nie wiadomo na pewno, kto w danej chwili może wam udzielić rzetelnej o tych sprawach informacji.

Rada Czytelnictwa podobno istnieje, ale ponieważ nie ma przewodniczącego GRN — ani jego zastępca Władysław Jarniszuk, ani starszy księgowy Feliks Peżowiec nie wiedzą, kto w jej skład wchodzi i co rada dotychczas już zrobiła, a co zamierza. Również zarząd świetlicowy w samej Słotwinie, wybrany na zebraniu ZMP-owskim, a nie gromadzkim, poza grą w siatkówkę w pogodne popołudnia nie zrobił nic ażeby świetlica była nie tylko salą do okolicznościowych zebrań i zabaw, salą zresztą skąpo wyposażoną w starzejące się ławy i stoły. Kierownik świetlicy i równocześnie biblioteki gminnej kol. Maria Jóźwiak sama, nawet przy najlepszych chęciach i wysiłku nie da sobie rady. Bibliotekę gminną urządziła i prowadzi bardzo starannie; na trzecim etapie konkursu czytelniczego zajęła drugie miejsce w skali powiatu. Biblioteka posiada około 2.350 książek i 120-tu czytelników, przeważnie młodzieży szkolnej, z „budowlanki", „metalowej", z Liceum Pedagogicznego i innych są to synowie i córki tutejszych chłopów, rzemieślników, zatrudnionych w spółdzielniach pracy i robotników.

Starsze pokolenie, zwłaszcza gospodarze, spółdzielcy, indywidualni czytają mało. — Siewy... — tłumaczy, ale sama czuje kruchość takiego usprawiedliwienia. Koleżanka Jóźwiak chce założyć biblioteczki sąsiedzkie, co powinno przyśpieszyć obieg książek, ale nie wyczerpuje jeszcze innych, atrakcyjnych możliwości wzmożenia czytelnictwa.

Niektórzy mają zalążki własnej biblioteczki; książki kupują u listonosza, dosłownie za grosze, ale ten nie zawsze ma taki, jakich domagają się czytelnicy. Trudno na przykład o „Bieg do Fragala", „Pamiątkę z Celulozy".

W gminie jest dziewięć gromadzkich punktów bibliotecznych, ale do nich koleżanka Jóźwiak jeszcze nie dotarła; niestety nie tylko dlatego, że nie ma roweru. Trudno nawet dociec, u kogo książki się znajdują: w Pogorzałej opiekował się biblioteką przewodniczący koła ZMP ob. Mieczysław Wata, ale poszedł do wojska i nie wiadomo jak ten fakt książki przeżyły i u kogo znalazły przytułek.

W Mokrzeszowie, w którym nie ma świetlicy, ale jest za to gospoda, a w gospodarce wódka, piwo i papierosy — opiekował się biblioteką kolega Józef Flasza, ale się ożenił. A co z biblioteką? Ano trzeba będzie sprawdzić...

W Cierniach wątły żywot wiedzie aż kilka bibliotek: ZMP-owska, gromadzka, szkolna, straży pożarnej i spółdzielni produkcyjnej — od 100 do 200 książek każda. W biurze zarządu spółdzielni leżą sobie książki cichutko, ładnie sznurkiem związane i rumienią się ze wstydu za przewodniczącego tow. Kramarza.

Kazimierz Koszutski

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

Dlaczego kupił...

Rozmokłe wiejskie drogi nie zdążyły jeszcze obeschnąć. Znał je dobrze, do każdego domu mógł trafić po omacku. I jego znał tu każdy; nawet dzieci zaczepiały go poufale, pytając, czy nie ma czasem czegoś dla nich?... — Dzieci z zaciekawieniem dotykały oczami jego pękatej torby przewieszonej przez ramię, wypchanej papierzyskami, z której wygrzebywał listy i gazety.

Uśmiechał się do zawiedzionych dziewcząt, którym nie mógł dać niecierpliwie oczekiwanego listu od chłopców, ślęczących nad książkami czy obrabiarkami w dalekim mieście, albo strzegących leśnych przejść i zawiłych tropów nad granicą — i pocieszał:

— Jutro dopiero napisze... — Więc dziewczętom łatwiej było chyba czekać...

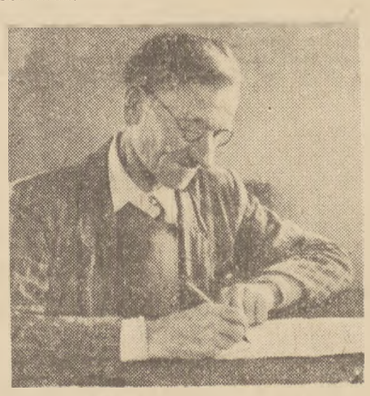

Oto zatrzymał się przy kuźni za zakrętem, oparł rower o zzieleniały od deszczów płot. Stary kowal, pochylony nad kowadłem, dopiero na dziarskie: dzieńdobry — podniósł głowę i oderwał oczy od rozżarzonej sztaby metalu, której nadawał kształt.

—A, to ty... List? Od syna... — Obracał ostrożnie w ręku kopertę z błękitnym znaczkiem, pachnącą tym dalekim, a bliskim sercu krajem, w którym jego syn na budowie olbrzymiego kanału przygotowywał się do jutrzejszych obowiązków i zadań.

List od syna...

— A co to dziś taką torbę wypchaną masz? Ciężko ci...

— To książki, ojczulku...

— Książki, powiadasz — dziwił się stary — I co? Sprzedajesz je?

Listonosz skinął głową:

— Kupcie, niedrogie..

— Iii, gdzie to ja teraz mam czas na czytanie... Wiosna przecież.

— O, tę kupcie, o włoskich chłopach, co ziemię panom odebrali i o jednym takim, który z niewoli wrócił, a brat mu narzeczoną odbił, a ich siostra...

— No... — dziwił się stary.

— A kupcie, to się dowiecie — żartował listonosz. — Za darmo wam będę opowiadał?

Stary kowal był jeszcze podczas pierwszej wojny we Włoszech — i teraz odżyło w nim niewygasłe, odległe wspomnienie rowów strzeleckich, kanonad, szturmów nad Piave, wspaniałych gór, gorących ludzi... Trzymał książkę w ręce, jakby ważył jej treść, ostrożnie dotykał palcami czarnych liter... „Bieg do Fragala"..

— Albo tę, weźcie, o pięciu łobuzach z ulicy Barskiej z Warszawy. A może tę o wiejskiej dziewczynie, w której się kocha dwóch facetów, a ona zostaje się później za kierowniczkę PGR-u, coś tak jak wasz Józek, tylko, że w spódnicy..

— Co mówisz? Józek? — Stary jakby się z zamyślenia wygrzebał i nie słyszał ostatnich słów listonosza.

— Czytałem ja taką jedną książkę...

— No, kupicie? — Niecierpliwił się listonosz, — Tanio... Po dwa czterdzieści książka, mniej niż paczka „sportów"... No co? Kupujecie...?

— No to daj już tę o chłopach włoskich i tę o... dziewczynie — ciszej dokończył stary, wysupłując pieniądze z kieszeni. Uśmiechnął się przy tym jakoś niezrozumiale, jakby zawstydzony.

Listonosz poprawił torbę na piersiach, wskoczył na siodło, nacisnął pedały i przykładając swoim zwyczajem dwa palce do daszka, rzucił staremu wesoło:

— Do widzenia...

Niestety, nie znam nazwiska listonosza. Ale wieś nazywała się wbrew temu co w niej zobaczyłem, ostro, jakby kryjąc w sobie trudną do odgadnięcia aluzję: Ciernie..

Kazimierz Koszutski

Kronika Radziecka

TWÓRCZE PODRÓŻE

„Pragnąć głębiej wejrzeć w życie budowniczych, postanowiłem spędzić wśród nich, na ich budowie jak najwięcej czasu... Były to najlepsze miesiące w moim życiu. Dały mi one dużo cennych wiadomości i dużo radości".

Tak znany reżyser A. Dowzenko scharakteryzował cel swojej podróży na budowę hydrowęzła na Dnieprze. Związać się silniej z życiem, poznać lepiej i głębiej ludzi — oto zadanie tzw. twórczych podróży pisarzy radzieckich.

Lud jest skarbnicą nauki dla pisarza. N. Nikołajewa nie mogłaby napisać swej szeroko poczytnej powieści „Żniwa", gdyby nie studiowała przedtem całokształtu stosunków w powojennym kołchozie. Dla Gorbatowa temat Zagłębia Donieckiego jest jak najbliższy: Donbas — to przecież miejsce rodzinne prozaika. Ale pisarz stale nawraca do tych stron, bo życie w ZSRR toczy się wartko naprzód. I jakkolwiek twórcy radzieccy wkraczają do literatury ze środowiska kołchozowego, robotniczego, z kół inteligencji ludowej i wnoszą bezpośredni zapas wiadomości i obserwacji z otaczającej ich rzeczywistości, to jednak doświadczenie okazuje się po pewnym czasie niewystarczające. Pięć lat temu w tym miejscu, gdzie upłynęła młodość pisarza było osiedle, a dziś wznoszą się kominy tego kombinatu przemysłowego. Życie inne, odmienna jest też skala zainteresowań ludzkich, rośnie człowiek.

Pisarz, jeśli nie chce zostać poza biegiem nowych wydarzeń, musi jak starożytny Anteusz dotknąć ziemi i nabrać nowych sił: musi sięgać po nowe źródła stale rozwijającego się życia.

Twórcze podróże stały się nieprześcignionym w mądrości uniwersytetem pisarzy, środkiem dla badania życia ojczystego. Inicjatorem tego swoistego „doszkalania się" był Gorki.

Za jego radą szereg pisarzy pojechał w ciągu pierwszych pięciolatek do fabryk i zakładów przemysłowych dla stworzenia książek o ludziach pracy socjalistycznej. Sam Gorki lubił podróżować po kraju ojczystym, zwiedził niemało innych krajów, zaznajamiając się z życiem, ludźmi, to też pozwoliło mu tworzyć takie znakomite utwory.

Związek Pisarzy Radzieckich, rozwijając tradycje Gorkiego, szeroko traktuje twórcze podróże pisarzy, w tej liczbie młodych pisarzy. Co roku na twórcze wyjazdy pisarzy wydaje się od półtora do dwóch milionów rubli.

W Instytucie Literackim kształcą się przedstawiciele wielu narodów ZSRR. W dniach ferii rozjeżdżają się oni po całym Związku Radzieckim, zaznajamiają się z życiem, z ludźmi, gromadzą materiał dla przyszłych swych opowiadań, sztuk, poematów, powieści. Sądząc z opublikowanych w ostatnim czasie utworów młodych autorów, można powiedzieć, że podróże nie pozostały dla nich bez pożytku. Na przykład młody pisarz kirgiski N. Bajtiemirow opublikował w języku rosyjskim powieść „W pewnym kołchozie". Napisał prócz tego libretto opery, przyjętej do wystawienia przez Kirgiski Teatr Akademicki. Zbiór wierszy wydał młody, utalentowany poeta W. Fiodorow. Rezultatem twórczej podróży uzbeckiego poety I. Ibragimowa był poemat „Step kwitnie", opublikowany w Azerbejdżanie. Poemat tłumaczony jest na język rosyjski.

W Instytucie Literackim kształcą się młodzi pisarze i poeci z krajów demokracji ludowej. Im, jako studentom Instytutu, umożliwia się również twórcze wyjazdy. Młoda poetka bułgarska Lilian Stefanowa odbyła kilka podróży po Związku Radzieckim, była na kanale Wołżańsko-Donskim, w Uzbekistanie. Stefanowa napisała zbiór wierszy, który wydany jest w języku rosyjskim przez wydawnictwo „Młoda Gwardia". Opublikowała w prasie bułgarskiej szereg szkiców o Związku Radzieckim.

Dokąd jadą pisarze? Gdyby ułożyć mapę twórczych podróży, to byłaby ona cała upstrzona niezliczonymi kropkami, oznaczającymi miejscowości, gdzie byli pisarze. Udają się oni do najdalszych zakątków Związku Radzieckiego; można ich spotkać w tajdze, na Czukotce, na okręcie na Oceanie Lodowatym, na Pamirze, pod upalnym niebem Kazachstanu, w piaskach Kara-Kum. Pisarze zwiedzają oddziały zakładów przemysłowych, pola kołchozowe, laboratoria uczonych, wielkie budowy.

Ludzie radzieccy lubią pisarzy, witają ich gościnnie, cenią ich pracę. Przyjazd pisarza — to prawdziwe święto w zakładach przemysłowych, kołchozie, na budowie. Ludzie proszą o wygłoszenie przemówienia, o przeczytanie swoich utworów, o rozmowę. Pisarz zaś wyjeżdża wzbogacony wrażeniami, unosząc w sercu obrazy życia, postacie bohaterów swej przyszłej książki.

Delegacje twórcze stanowią istotną pomoc w pracy pisarzy. Pisarz korzysta z twórczego wyjazdu dla uzupełnienia swych wiadomości, obserwacji i wrażeń. J. Libiediński pisze w swym sprawozdaniu: „Dzięki twórczej delegacji osiągnąłem zupełne, wyczerpujące wyobrażenie o postaci mego bohatera i o jego działalności w danym okresie historycznym". Mowa tutaj o trzeciej części powieści „Góry i ludzie".

Interesujący jest los powieści J. Łaptiewa „Droga otwarta". Powieść była drukowana w czasopiśmie „Oktiabr". Krytyka wytknęła szereg istotnych braków. Tematem powieści jest życie kolejarzy radzieckich. Autor pojechał do Kijowa i do węzłów kolejowych „Darnica" i „Fastow". Po przeszło miesięcznym pobycie miał kilka spotkań z kolejarzami, którzy wszechstronnie omówili treść powieści, pomogli autorowi dostrzec omyłki, udzielili mu rad, dając dowody najprzyjaźniejszego zainteresowania pracą pisarza. Dzięki tym spotkaniom autor nie ograniczył się do poprawienia poszczególnych omyłek, lecz w sposób najpoważniejszy przerobił powieść dla oddzielnego wydania.

OSIEM MILIONÓW

125-lecie urodzin Lwa Tołstoja było obchodzone w Związku Radzieckim uroczyście i szeroko. Posłuchajmy wymowy liczb.

Utwory Lwa Tołstoja w ZSRR są wydane w tym roku w trzydziestu językach. Wychodzą one we wszystkich republikach związkowych, a ich nakłady przekraczają osiem milionów egzemplarzy. Samo tylko Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej drukuje 22 wydania utworów wielkiego pisarza w nakładzie 4 milionów 800 tysięcy egzemplarzy.

Wydawnictwa drukują również zbiory, broszury, monografie, poświęcone życiu i twórczości pisarza.

Utwory L. Tołstoja zajmują poważne miejsce w repertuarze teatrów kraju. W ciągu 1952 roku 1.451 razy wystawiono sztuki Tołstoja w 82 teatrach. W jednym tylko Teatrze Artystycznym sztuki „Anna Karenina", „Zmartwychwstanie", „Płody edukacji" były wystawiane 122 razy. W dni jubileuszu sztuki Tołstoja były wystawiane ponownie.

W pałacach, domach kultury i klubach robotniczych (jest ich w kraju przeszło 9 tysięcy) odbyły się wieczory tołstojowskie, wygłoszone zostały referaty, odczyty, pogadanki. W dwunastu tysiącach bibliotek związków zawodowych miały miejsce konferencje czytelnicze, wystawy, gabloty fotograficzne i inne formy popularyzacji twórczości genialnego pisarza. Odczyty, referaty, pogadanki, poranki dziecięce były organizowane na wyższych uczelniach i w szkołach, kołchozach i parkach.

Rocznica tołstojowska została uświetniona dwudniową sesją w Akademii Nauk ZSRR oraz posiedzeniami rad naukowych Instytutu Literatury Światowej im. A. M. Gorkiego oraz Instytutu Literatury Rosyjskiej.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

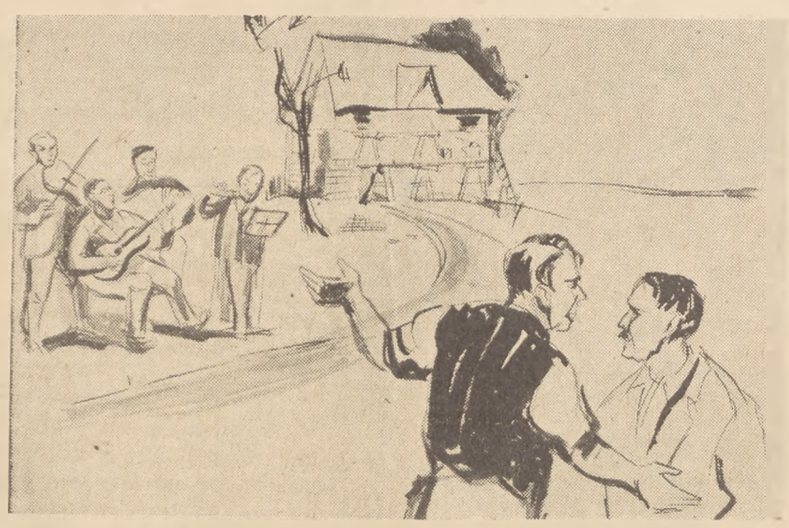

rys. H. Snitkiewicz

CZESŁAW SCHABOWSKI

Dyrektorska wycieraczka

Cegła nie może trafić do murarza; deska miesiącami szuka stolarza; zdun przyjedzie, kafli nie ma; kafle dostarczą — zduna brak! Zadzwonisz po zduna — przyjedzie szklarz; odwołaj szklarza — przyślą betoniarzy, akurat wtedy, gdy na budowie miast cementu, pełno szkła.

W taki to sposób ZBM odbudowywało w pewnej wsi dworek, w którym miała się mieścić świetlica gminna. Ileż okolicznościowych zobowiązań podejmowano! Dwa Pierwsze Maja przeszły — i z zobowiązań nici. Prześwięciły się też w taki sam sposób coś trzy 22 Lipca. 1 października niejeden przeszedł a obiecana przez kierownictwo ZBM „wiecha" jakoś nie mogła dostać się na dach. I dziadek Mróz, na Nowy Rok 53 też został „wystawiony rufą do wiatru..."

Aż kapelmistrz, który w między czasie uczył na pastwisku zespół instrumentalny grać różne kawałki na uroczystość otwarcia świetlicy, zaczął się trapić:

— Chyba nic z tego. Zanim moi muzykanci będą mieli odpowiednią estradę, niejeden gamy zapomni...

— Co tam wy! — burknął pogardliwie kolega, kierownik zespołu teatralnego, który próby z „Moralności Pani Dulskiej" prowadził w stodole u Jarząbka, święcąc niedawno 500 jubileusz przygotowań do premiery. — Moi artyści zapowiedzieli, że jeśli chcę odbyć z nimi 501 próbę, to owszem, ale w świetlicy. Pewno mi się zespół rozleci...

Mimo takich narzekań wsiowych pesymistów, budowa jakoś się posuwała. Przybyli murarze, (aby razem ze stolarzami, wysłanymi jakoby o dzień wcześniej dopasować do otworów futryny i obmurować je) pytają gdzie zakwaterowali stolarze? Ludzie — w śmiech. Nasi ZBM-owcy od kielni, dzwonią do Sieradza, zapytując, co robić.

— Czekać — oddzwoniono z kierownictwa. — Ślemy wam na pomoc stolarzy!

Murarze czekają. Dzień jeden, drugi, trzeci — a tamci jakby przepadli. Murarze poczekali jeszcze parę dni, połazili na grzybki, nasuszyli nieco samych prawdziwków i brzozaków, jednak tamci nadal się nie zjawiali i posucha zahamowała urodzaj na prawdziwki — wrócili do Sieradza. I oto co za pech: zaraz po ich wyjeździe przybyli do wsi stolarze! Mało tego: zaczęło padać dzień w dzień — i prawdziwki znów pokazały się po lasach.

Teraz zaczęło się telefonowanie stolarzy, alarmujących Sieradz o pomoc.

— Czekać! — odpowiedziano. — Ślemy wam murarzy!

Stolarze czekają. Dzień jeden, drugi, trzeci.

A murarze, mimo dogodnej pogody i na grzybki i na rybki — jakby przepadli.

Wobec tego stolarze — uważając, że takie czekanie nie obniży kosztów własnych produkcji, gdyż każdy ich dzień i nocleg liczyło się wg ustalonych diet na delegacji — postanowili wrócić do Sieradza.

A szkoda. Bo akurat minęli się w drodze z murarzami.

I znów, jak na początku: telefony murarzy i z tuby odpowiedź: „Czekajcie! Ślemy wam pomoc!"

Ale budowa jakoś szła: przyjechali malarze, przebrali się w swoje pstre sztywne od pokostu, sfatygowane, lecz fantazyjnie nakrapiane kombinezony robocze. Powkładali na głowy upstrzone kapelusiki z pobocinanymi rondami, chroniące włosy przed pokostem. Wniesiono kubły i drabiny, zaczęto włazić na szczeble, próbując wysoczyzn ścian i sufitów. Ponieważ okazało się, że drabiny są za niskie — nadsztukowano je listwami, których na budowie poniewierało się pełno. Po „dopasowaniu się" malarzy do wysokości dworku, przyniesiono wodę do kubłów, przygotowano gips do szpachlowania, po czym jeden z pomocników polazł na dwór, do dołu za wapnem, którym miały być bielone ściany. Lecz okazało się, że w dole — wapna ani na lek!

To nic. Jest przecież na poczcie telefon i gdy się zadzwoni — Sieradz wapno przyśle. W każdym razie nie w maju, gdyż był grudzień (52 r.).

Zatelefonowano.

— Czekać! Ślemy wapno! — odpowiedziano.

Malarze czekają. Dzień jeden, drugi. Itd. Wapna jak nie ma, tak nie ma.

W tym czasie Dulska wyszła za swego syna; panny Dulskie wyjechały do brygad SP; praczka Tatrachowa postarała się o dziecko; starego Dulskiego skaperowała „Babka", czyli ob. Kucharska trzymająca we wsi potajemną knajpę — i zespół rozleciał się.

Ale budowa i tak jakoś szła: nasi malarze zaczęli się żywiej kręcić, medytować, próbując sposobem gospodarczym zdobyć wapno. Szukali długo, cierpliwie. I oto znaleźli — porządne, krzywe u odziomka kije leszczynowe. A za krążek posłużyła konserwa z sielawą w pomidorowym sosie, której w sklepie GS-u nie brakowało. Bo to niedaleko był staw zamarznięty z taflą lodu, jak lustro; czy więc, mając delegacje z zapewnionymi dietami nie można zagrać w hokeja? Zwłaszcza, że na każdy przyjazd robotników na budowę zlatywało się pół wsi młodzieży.

Cóż, wapno może nadejść jutro. Zagrać można.

Miejscowi przegrali. Na razie. Bowiem Sieradz zamówił wapno aż gdzieś... w Gwa elupie i wsiowi prędko nabrali hokejowej smykałki, i już trzeciego dnia, z puszki sielaw w pomidorowym sosie — były strzępy. Wobec czego malarze — uważając, że graczom z takim temperamentem GS nie potrafiłby dostarczyć konserw — wyjechali.

— Malarzy nie ma. Teraz tylko patrzyć, jak przywiozą wapno! — chichotali wsiowi. A kułak, który tylko czyha na takie okazje, zaczął zaraz szeptać:

— Załóżta spółdzielnię! Bedzieta mieć z niej pociechę, jak z tych sieradzkich kierowników budowy! Taka w niej robota bedzie...

Ale na kierowników nie można tyle narzekać. Kiedy wreszcie po trzech latach budowy zbliżał się jeszcze jeden 22 Lipca, kiedy przed portalem dworku kończono betonowe schody, pozostawiając w nich specjalny otwór na żelazną kratę-wycieraczkę, okazało się, że żadne z aut ciężarowych, którymi stale wożono różne materiały, nie przywiozło kraty. Z tej prostej przyczyny, iż kierownictwo zapomniało dać odpowiednie zlecenie warsztatom ślusarskim. Wobec czego, aby na uroczyste otwarcie mieli chłopi w co buty wycierać, sam dyrektor przedsiębiorstwa popędził własną limuzyną do Sieradza po wycieraczkę!

Byłem świadkiem tej wzruszającej sceny, kiedy dyrektor po przywiezieniu kraty, przy pomocy tylko swego szofera wyjmował ją z tylnego bagażnika wozu i własnoręcznie obsadzał na schodach przed portalem!

A patrząc na ironiczno - zagadkowe uśmieszki chłopów — wytarł buty o wycieraczkę i wszedł do świetlicy, kontrolować stan robót.

Czesław Schabowski

Mamert Niezgujko

GAPA — FAJTŁAPA

Tam, gdzie pracował, tam i porzucił
bańkę, ze smarem, beczki i pługi.
Miał po nie wrócić, ale nie wrócił:
przeleżą w rowie tygodnie długie...

Zdarza się taki nieomal wszędzie:
w POM-ie, w spółdzielni i w Pegeerze!
Nie siewca ziaren, ale narzędzi:
gapa — fajtłapa, powiedzmy szczerze!

On by spustoszył nawet hurtownię!
Narzędzia swoje raz dwa rozwłóczy,
a potem idzie do narzędziowni
po nowy komplet cęgów i kluczy...

Listopad w polu, deszcz tnie z ukosa...
Patrzysz, pod krzakiem stoją dwie brony.
Pod krzakiem innym grabie i kosa,
a nawet siewnik tam zostawiony...

A kiedy sprawdzać zaczną inwentarz,
szuka po polach terenu znawca,
bo sam fajtłapa nic nie pamięta!...
Gapa-fajtłapa? Nie, marnotrawca!!!

Wśród korespondencji

Weźcie przykład z Biegonic

Gmina Majdan Królewski (pow. Kolbuszowa) w Polsce sanacyjnej należała do zabitych deskami i najbiedniejszych zakątków Polski B, w których panoszyła się iście „galicyjska nędza". Wokoło lasy, grunty piaszczyste, prymitywizm uprawy roli. Połowa rąk, to ręce zbędne na wpół bezrobotnych, wyzyskiwanych przez kułaków i spekulantów biedniaków i bezrolnych...

Wtedy to miały miejsce niezdrowe, podsycane przez młodzież kułacką szowinistyczne walki między gromadami, przysiółkami, gminami, z których wynikały bójki, areszty, procesy. A gdzie się dwóch biednych bije, tam trzeci kułak korzysta...

Po wyzwoleniu w okolicy powstały potężne zakłady przemysłowe: Dęba, Mielec, Tarnobrzeg (pomijając nawet masową „emigrację" do Nowej Huty i Stalowej Woli). Warunki życia chłopów a zwłaszcza młodzieży podniosły się wybitnie. „Kawalerowie" kupują sobie motocykle, rowery, piękne ubrania, radia, zespoły! Panny przy lada okazji stroją się jak dawniej tylko na wesele. Ale, o dziwo, panuje zastój w pracy kulturalnej i społecznej wśród młodzieży, mimo, że poczuli nowe perspektywy poza granicami gminy. Tam pracują i żyją socjalistyczną przebudową przez cały dzień, ale wieczorem i na święta wracają do nieprzeoranej zapadłej gminy Majdan jako „goście", lub „wczasowicze". W ten sposób siedzą na dwóch stołkach wygodnie i beztrosko...

W r. 1950/51 w Majdanie Królewskim (siedziba gminy) była czynna świetlica i zespół artystyczny. Wtedy jeszcze nie 30 proc., ale dopiero 10 proc. młodzieży dojeżdżało do przemysłu. Odbywały się akademie i przedstawienia. Grano „Grube ryby" i „Zaprzęgaj konia". Koło ZMP systematycznie odbywało zebrania i szkolenie ideologiczne.

A teraz w świetlicy pustki. Koło ZMP nie odbywa zebrań, ani szkolenia. Z 20 członków — 16 dojeżdża do pracy i nie czują się już związani z własnym terenem. Nie widzą perspektyw i potrzeby pracy w swej gminie. Jest ona dla nich tylko przejściowym miejscem zamieszkania, w którym nic się szczególnego nie dzieje, w którym nie widać rewolucji. A rewolucja trwa i potrzebuje entuzjastycznego poparcia młodego pokolenia chłopów — okrzepłego przy pracy z klasą robotniczą na wielkich budowlach. Młodzież z gminy Majdan Królewski może się wiele nauczyć od młodzieży z Biegonic. Przede wszystkim nauczyć się patriotyzmu terenowego, który kazał młodzieży Biegonic też w 50 proc. dojeżdżającej i pracującej w fabrykach Nowego Sącza nie zapomnieć o swej wsi i możliwościach jej rozwoju. Koło miczurinowskie, dobra praca świetlicy dała wspaniałe wyniki mimo słabej podkarpackiej gleby. Bo młodzież Biegonic nie w charakterze gości wracała do ojców, ale jako ośmielona i podniesiona do godności klasy robotniczej kadra aktywu zdolnego przebudować rodzinną wieś. I w tym wyraził się jej terenowy patriotyzm i postawa walcząca wobec zagadnień rewolucji w gospodarce i kulturze własnego terenu, patriotyzm, którego, niestety, brakuje młodzieży z gminy Majdan.

B. G.

Siew w polu i w myślach

Z rzeszowskiej wsi Majdan otrzymaliśmy listy od kilku dzieciaków. Piszą o siewach jesiennych, o trudnościach i zabiegach ich rodziców. Okazuje się, że Zjazd Przodujących Chłopów i Dożynki w Szczecinie odbiły się głośnym echem w każdej wsi polskiej. W Majdanie odbyło się kilka zebrań gromadzkich, poświęconych przygotowaniom do siewów. Rodzice naszych 13-letnich korespondentów „chcą bezwzględnie pokonać trudności, jakie napotykają małorolni". Przeniesienie treści obrad Szczecińskiego Zjazdu i w tej rzeszowskiej wsi otwarło chłopom oczy na wiele niedocenianych dotąd spraw w rolnictwie. W opisie wygląda to na obrachunek w stylu: „Mądry Polak po szkodzie".

Nie użyć bowiem do siewów selekcyjnego ziarna to strata 20 — 30 proc. gwarantowanego wzrostu plonu. Nagły run na doborowe ziarno przewyższył oczekiwanie i rozmiar zapasów w dyspozycji miejscowego GS i PGR. Zbudzili się chłopi, ale krzynę za późno. Teraz biją się w piersi, że za mało kontraktowali zboża na reprodukcję. Z pustego i Salomon nie naleje. Nie sztuka wyciągać rękę po ziarno siewne, trzeba je w skali całego kraju hodować, trzeba głębiej zrozumieć sens kontraktacji, jest ona również fundamentem stałej selekcji, podnoszącej jakość reprodukcji.

Nie sztuka wyciągać rękę po nawozy sztuczne. Produkujemy ich dziś 4 razy więcej niż przed wojną, ale jeszcze to mało dla sutej omasty gleby. Trzeba więc dbać o hodowlę bydła i obornik. Poważna to pozycja na polu małorolnych. Poważna też odpowiedzialność.

Dzieci piszą z entuzjazmem o siewiarkach. Tylko siewnik rzędowy! Zamawiają ich rodzice tego wyręczyciela ręki, który daje oszczędność na ziarnie, równy i właściwy rozrzut, a więc i prawidłowy rozwój rośliny i większe plony.

W bardzo ciekawym świetle pokazana została w listach sprawa sprzężaju. Dzieci — mali agronomowie — widzą tu jedną z najgorszych bolączek małorolnych. Do orki i do siewu potrzebna siła pociągowa. Tradycyjnie — konie. Czyli chodź, proś, wypożyczaj. Potem płać lub odrabiaj. Tak było dawniej, tak jeszcze bywa. Dzieci odkrywają jeszcze jedną pułapkę jaka czeka na biedotę. W orce i siewie rozstrzyga termin. W czasie właściwym przeprowadzone siewy to podstawowy warunek urodzaju. Ale nim małorolny w kolejce doprosi się sprzężaju, terminy takie często mijają, a w przeszłości z reguły przepadały. W tym właśnie wyrażało się również upośledzenie rolnicze biedoty. Nie tylko miała mniej ziemi, ale i gorszy start.

Dzieci wzdychają za maszynami, za traktorem nie tylko we własnym imieniu. Powtarzają rozważania rodziców. U rodziców kończą się jeszcze one stwierdzeniem: za małe pola, obrócić się na nich nie może maszyna. Ale raz ostro podjęty obrachunek z zacofaniem i trudnościami będzie nasuwał nowe myśli nie tylko o tym, co można, ale i jak trzeba, aby rzeczywiście osiągnąć najwięcej w produkcji rolnej. Rodzice naszych korespondentów bywali przed wojną w Niemczech i Francji, w poszukiwaniu kawałka chleba. Dziś, czerpiąc z tamtych srogich doświadczeń, łatwiej im zrozumieć wartość dobrowolnego wysiłku, który łamie stare nawyki, aby tworzyć nowe, wydajne życie w Polsce Ludowej, która chroni każdego chłopa przed skazaniem go na poniżającą tułaczkę po obcych krajach.

W. P.

Gazetka gminna

Rodzinka

Jedna i nie taka znana wielka rodzinka Kosmów z Dmosina (pow. Brzeziny, woj. Łódź) sprawiła, że gromada ta, przodująca w dostawach ubiegłego roku, wlecze się obecnie na szarym końcu.

Sprężystość działania, sprawiedliwy podział pracy — oto środki, którymi sprowadzili Kosmowie Dmosin z pierwszego miejsca na ostatnie. Najpierw napiszemy o głowie roku — Stanisławie. Nie byle jaka to figura! Toż to kontroler wewnętrzny GS-u, członek trójki gromadzkiej. Na obu polach działalności osiągnął poważne wyniki. Zaagitował tak energicznie swego brata i siebie, że obaj do tej pory nie odstawili ani kilograma zboża. I jeszcze kilku innych.

Przede wszystkim jednak doglądał pracy GS-u, ściślej mówiąc „ustawiał" swoją teściową — Marię Kudlik z działu sprzedaży. Powierzył jej mianowicie sprzedaż nawozów sztucznych, nauczył pewnego zasadniczego zwrotu, przy pomocy którego odprawia się chłopów z niczym. „Nie ma, nic nie wiem, jak będzie to będzie" — oto co mówiła nieustannie Kudlikowa. Oczywiście nie do wszystkich, lecz tylko do małorolnych. Ostatecznie przecież 60 q nawozów — jakby nie było zasiliło ziemie kułackie. Kubek w kubek, tak samo śpiewała swoje: „Nie, owsa nie będzie" gdy chodziło o otręby, odżywki, kosy, sznurek do snopowiązałek itp.

Kogo więc ob. Kosma Stanisław nie zdołał „zaagitować", tego Kudlikowa doprowadzała do rozpaczy. A jeżeli mimo wszystko chłop pchał się z ziarnem do magazynu — napotykał opór ze strony pana Edwarda Paszkowskiego, człowieka nad podziw gładkiego i wygadanego.

— Co się tak, kochaneczku, spieszysz? Widzisz, że pomocy przy wadze nie ma, do Nowego Roku daleko, masz czas...

I trzeba przyznać: niektórzy zawracali. Rodzinka osiągnęła swoje. Czas chyba najwyższy, aby dostała za swoje!

Jerzy Smutny

(Na podstawie listu mieszkańca Dmosina. Nazwisko znane redakcji).

Szukali stonki, znaleź i...?

Genowefa Błażewicz — jedna z bohaterek naszego opowiadania, żona rolnika z gromady Cerkiewniki (gm. Dobre Miasto, pow. Lidzbark) znalazła na swojej działce ognisko stonki. Zaalarmowała natychmiast GRN. Przewodniczący osobiście kierował poszukiwaniami za szkodliwym żuczkiem.

Stonkę — jak się wydawało — zlikwidowano, ale co z tego powodu wycierpiała Genowefa — na wołowej skórze nie spisać.

Jeszcze tego dnia wieczorem straciła szybę w oknie i fajansowy talerz, ły szereg orzeczeń GRN, że nie ma hektara ziemi, koni, siana, słomy... ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Tak więc — sami widzicie — w Cerkiewnikach przewrócił się do góry nogam świat. Genowefa, zawzięty wróg stonki, musi się gęsto przed Kolegium tłumaczyć, cztery jej przeciwniczki dniem i nocą myślą, jakby jej nową łatkę przypiąć. W ogólnym ferworze zapomniano o maleńkim żuku — stonce, który korzystając z zamieszania, pojawił się na polach Szczerbuchowej, obu Milewiczanek i Szwedowiczowej. No i świat z powrotem stanął na nogach. Stonka — wróg nr 1 wykryła wroga nr 2.

Borzywój Mleczarz

(Na podstawie listu Genowefy Błażewicz).

pier. Można było odczytać na tym papierze: „Jezdeś stara małpa, nagła śmierć cie za te stonke nie minie".

Któż to mógł zrobić? Cierpliwości. Błezewiczowa także nie wiedziała od razu. Następnego dnia przeczytała Genowefa napis tej treści: „Wszelkie stworzenia trza miłować, stonkę tyż. cholera cię ciśnie za te stonkę".

Dopiero po kilku dniach stało się jasne, kto pisze cytowane przez nas „listy". Genowefa szła drogą przez wieś i spotkała ją przygoda, którą nie wiadomo jak opisać. Nie obrażcie się, ale tak było naprawdę — cztery niezbyt piękne i na pewno nie młode sąsiadki — Szczerbuchowa, dwie Milewiczanki i Szwedowiczowa zadarły spódnice... a dalej domyślacie się. U Genowefy nie tyle snać oczy ucierpiały od takiego widoku, ile honor. Zaskarżyła sąsiadki przed kolegium orzekającym przy GRN w Lidzbarku. Napytała sobie biedy, musi bowiem udowodnić, że nie przekupiła instruktora ochrony roślin ob. Trojanowskiego 3 wozami słomy i koszem jaj. Ażeby tego dowieść, próbuje nieszczęsna uzyskać cado którego wpadł kamień owinięty w pa

Do wyższych celów stworzony

Jak szeroko w Radziejach (pow. Olsztyn) słychać, pan Czupryński Adolf — kierownik miejscowej szkoły podstawowej, postanowił rozstać się z zawodem.

Rozważmy sprawę spokojnie. Powierzono panu Adolfowi kierowanie życiem świetlicy. Tymczasem lokal odstąpił kierownikowi młyna ob. Szymczykowi. Leżą tam teraz nawozy, dach butwieje i wali się, okna dawno zapomniały, jak wyglądają szyby. Stan ten świadczy tylko o tym, że mamy tu do czynienia z człowiekiem, który stanowczo źle się czuje na szczeblu gminnym. Pan Adolf, sięgający myślami hen — ponad powiat aż do województwa, nie mógł zauważyć, że niszczeje piękny lokal świetlicowy.

Dawno gdzieś znikł bez śladu płot, który ogradzał dziedziniec szkolny. Dziś jeżdżą tamtędy wozy, pasą się krowy, kozy, gęsi, a nawet konie, plac jest tak dalece zanieczyszczony, że w praktyce nie mogą dzieci z niego korzystać. Fakt zapewne przykry ale uwagi pana kierownika nie godny. Podobnie zresztą, jak i sama szkoła. Ob. Czupryński męczy się w jej murach. Bywa często — zasypia w czasie lekcji, dostaje gwałtownej czkawki. I nie jest prawdą — jakoby działo się tak wskutek tego, że nasza przyszła sława lubi zaglądać do kieliszka. To po prostu reakcja człowieka stworzonego do wyższych celów, któremu złośliwy los kazał wtłaczać w głowy młodzieży wiedzę na zapadłej wsi.

Inna sprawa, że pan Adolf tego pije. Ale po pierwsze — nie sam, lecz w doborowym towarzystwie członków Zarządu GS-u, ludzi sięgających również daleko poza Radzieje. A po drugie połączenie spirytusu z sokiem wiśniowym daje ów cudowny środek, który sprawia, że cała kompania silniej zapomina o macierzystych Radziejach i gdzieś z wysokości między jedną a drugą kolejką, wydaje na całe województwo płomienne manifesty i wezwania.

Tak więc ucieka pan kierownik od kulturalnej pracy i szkoły. A jednak przydałoby się trochę kultury i dobra szkoła. Mógłby to otrzymać od kogoś z województwa, za którym tak pan Czupryński tęskni.

Borzywój Mleczarz

(Na podstawie listu mieszkańca grom. Radzieje. Nazwisko znane redakcji).

Zródło dochodów

Na ob. Olszewskiego Jana nikt by zapewne większej uwagi nie zwrócił, gdyby nie przedziwna transakcja, jakiej ostatnio dokonał z ob. Wiśniewskim Janem, znanym w Byszowie (gm. Klimontów, pow. Sandomierz) hodowcą pszczół. Otóż Jan — pszczelarz dostarczył Olszewskiemu kilka litrów miodu, w zamian za co otrzymał plac, na którym postawił sobie stodołę. Co za historia! Pomijając już fakt, że skórka nie warta tu wyprawki — skąd u licha Olszewski rozdaje ziemię za miód, skoro wiadomo, że jej nigdy nie miał?

Nie dziwimy się tedy zainteresowaniu chłopów osobą amatora miodu.

Jakim cudem nie mając ziemi utrzymuje aż trzy krowy? Wreszcie skąd ten bezrolny do tego przyszedł, że stawia sobie nowy dom z pięknego drzewa? Oto tajemnicze, niejasne sprawy, które — co się ludzkiej ciekawości dziwić — zaprzątnęły umysły co światlejszych chłopów. Spodziewano się niezwykłości i trzeba przyznać — doszło do tak sensacyjnych odkryć, że nie wszyscy w gromadzie chcą w nie wierzyć. Cóż dopiero mówić o GRN?

Olszewski — to najbogatszy i najbardziej ustosunkowany człowiek w gminie! Posiada 4 ha sadu, 3 ha łąki i 2 ha dobrej ziemi obsadzonej pomidorami, ogórkami i kapustą zimową. A stosunki jakich mógłby sobie każdy kumoter i wydrwigrosz życzyć. Toć przecież Olszewskiego gorąco popiera sam ob. Kurkiewicz Mieczysław, prezes GS-u wraz z rozległą rodziną i ob. Ślusarz Jan — także posiadający w każdej gromadzie familiantów. Lepiej nie trzeba, jeżeli się chce pokaźne ilości owoców, siana i warzyw — jak to się mówi — zepchnąć na czarny rynek.

A co najbardziej dziwne: owe dziewięć doskonale zagospodarowanych hektarów — to jest i nie jest własność ob. Olszewskiego. Jest, gdyż ciągnie z nich ile tylko wlezie, nie jest, gdyż podatków nie płaci z tej prostej przyczyny, że ziemia to... resztówka, której kierownikiem nieopatrznie mianowano ob. Jana. No, ale skoro można było mianować Olszewskiego, to można go i ze stanowiska zdjąć — rozumują chłopi. Gdybyż to w ten sam sposób chciały myśleć miejscowe władze!

Jan Biegała

(Na podstawie listu mieszkańca Byszowa. Nazwisko znane redakcji).

Kronika kulturalna

W całym kraju odbywają się powiatowe eliminacje I Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów. Akcja przygotowawcza najsprawniej przebiegała na terenie województwa stalinogrodzkiego, gdzie do Konkursu zgłosiło się przeciętnie około 100 kandydatów z każdego powiatu, oraz województw: łódzkiego, koszalińskiego i bydgoskiego. W oddziałach kultury prezydiów powiatowych Rad Narodowych zgłaszający się kandydaci zapoznali się z bibliografią utworów objętych konkursem, wydaną przez Centralną Komisję do Spraw Konkursu. Zawiera wykaz fragmentów prozy i poezji polskiej, począwszy od XVI wieku do współczesnej. Zapoznaje też czytelnika z aktualnymi i najbardziej istotnymi problemami, jakimi żyje dziś cały kraj oraz popularyzuje w formie literackiej postacie wielkich przywódców klasy robotniczej.

Liczba zgłoszonych uczestników pozwala sądzić, że Konkurs Recytatorski w pełni spełni swe ważne zadania: umasowienia czytelnictwa, podniesienia jego poziomu, zapoznania szerokich rzesz odbiorców z najbardziej wartościowym artystycznie — postępowym i rewolucyjnym — dorobkiem literatury polskiej, wreszcie wyłoni dużo nowych talentów recytatorskich, tak potrzebnych dziś do popularyzowania bogactwa naszej mowy ojczystej.

✤

Przed siedmiu laty powstał w Machowie powiatu tarnobrzeskiego w województwie rzeszowskim (z inicjatywy Marii Kozłowej) zespół pieśni i tańca, stawiający sobie za cel odtworzenie starych zapomnianych pieśni i tańców tamtejszych okolic. Zebrano bogaty materiał rekonstruując go na podstawie ustnej tradycji i wskazówek najstarszych ludzi gromady.

Niestety, dziś prawie zupełnie zamarła działalność machowskiego zespołu. Duże trudności w wypożyczaniu strojów, brak odpowiednich funduszów na zakup lub sporządzenie własnych, brak instrumentów — powodowały zastój w pracy, hamowały jej ciągłość i rytmiczność. W decydującej mierze do zaniku pracy zespołu przyczynił się brak dobrej świetlicy. Jakolwiek świetlica w ogóle istnieje i jest nawet wyposażona w meble i bibliotekę, to jednak z winy zupełnie nieodpowiedniej świetliczanki zamieniła się w karciarnię.

Apelujemy do Związku Samopomocy Chłopskiej, pod opieką którego znajduje się zespół, o zainteresowanie się życiem kulturalnym Machowa, otoczenie zespołu opieką i udzielenie mu odpowiedniej pomocy.

✤

Państwowy Instytut Sztuki zorganizował w województwie kieleckim badania terenowe nad sztuką ludową. Przedmiotem tych badań była ludowa twórczość plastyczna, rzeźba i drzeworyt, malarstwo, architektura i zdobnictwo wnętrz, ceramika, tkactwo, wyroby kowalskie, stroje ludowe oraz inne. W wyniku przeprowadzonych badań zebrano znaczną ilość materiałów naukowych w postaci rysunków, barwnych kopii zabytków sztuki ludowej i notatek pochodzących z około 80 miejscowości powiatu kozienickiego, starachowickiego, radomskiego oraz północnej części opatowskiego.

Materiały te stanowić będą podstawę do obszernej monografii sztuki ludowej woj. kieleckiego, która ukaże się w ciągu najbliższych lat.

✤

Centralna Spartakiada wsi w Szczecinie pokazała dobitnie, jak dzięki troskliwej opiece władzy ludowej sport obejmuje coraz szersze kręgi młodzieży wiejskiej. Na starcie stanęło 1600 sportowców wiejskich z całej Polski, wyłonionych uprzednio w eliminacjach wojewódzkich spośród 200 tysięcy młodzieży zrzeszonej w LZS-ach. Walczono o tytuły mistrzów w 9 dyscyplinach sportu: lekkiej atletyce, koszykówce, siatkówce, piłce ręcznej, piłce nożnej, pływaniu kolarstwie i łucznictwie. Prawie wszystkie dotychczasowe rekordy wsi zostały pobite, zaś drużynowy tytuł mistrza Spartakiady zdobył okręg gdański.

Jednym z największych osiągnięć Spartakiady było wybicie się na czoło we wszystkich dyscyplinach sportu młodzieży LZS-ów przy spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach i POM-ach.

Sukcesy Spartakiady powinny zmobilizować sportowców wiejskich do jeszcze intensywniejszej pracy, aby młode Ludowe Zespoły Sportowe stały się czołowym zrzeszeniem sportowym w naszym kraju.

✤

Pomimo imponujących osiągnięć na polu rozwoju kultury na wsi, w wielu miejscowościach nie docenia się jeszcze wielkiego znaczenia świetlicy.

Jako niedobry przykład może posłużyć gmina Pełczyce w powiecie myśliborskim. Posiadała ona piękną, pomysłowo urządzoną świetlicę, wyremontowaną przez młodzież. Świetlica służyła całej gromadzie, jako miejsce zebrań, zabaw i różnych uroczystości do chwili, gdy prezydium GRN nie zadecydowało o zorganizowaniu w tym właśnie lokalu żłobka. Zamierzenie to nie zostało zrealizowane. Opuszczona przez młodzież świetlica, niszczona przez szabrowników, jest schroniskiem bezpańskich psów i kotów, podczas gdy członkowie istniejących w Pełczycach organizacji społecznych, jak ZMP, Liga Kobiet, TPP-R nie mają gdzie odbywać swych zebrań.

A zbliża się zima i długie zimowe wieczory... Czyżby bez odczytów, dyskusji, zajęć świetlicowych?...

✤

W trosce o poprawę wyników pracy kin i upowszechniania kultury filmowej na wsi liczni pracownicy kin miejskich zainicjowali pomoc sąsiedzką kolegom z okolicznych gmin i gromad. Inicjatywa ta została pogłębiona wypracowanymi przez Centralny Urząd Kinematografii formami opieki i dziś wszystkie kina miejskie współpracują ściśle z wiejskimi, dzieląc się z nimi swym doświadczeniem fachowym i organizacyjnym. Od chwili powołania opiekunów kin wiejskich na odcinku wsi nastąpiła widoczna poprawa. Tak na przykład Wiejskie Kino Stałe Nr 30 w Unisławiu powiat Chełmno wykonało prawie trzy czwarte planu rocznego, mając do lipca bież. roku — 11.747 z zaplanowanej na 14.000 ilości widzów. Wiejskie Kino Stałe Nr 25 w Dąbrowie Chełmińskiej z zaplanowanej ilości widzów 10.500, osiągnęło już 7.009. Opiekunem obu jest kino „Orzeł" w Bydgoszczy.

Również kina w takich wsiach, jak Babimost, Trzciel, Trzebiechów, Cybinka, które na ogół do maja br. nie wykonywały planu, teraz go przekraczają.

Niestety, nie wszędzie kina wiejskie otoczone są opieką. Wiejskie Kino Stałe z cementowni Wierzbica od dłuższego już czasu nie wykonuje swego planu widzów. Winę ponosi w dużej mierze Okręgowy Zarząd Kin w Kielcach. Filmy przysyłane do Wierzbicy są często bez początku lub zakończenia, a wszelkie reklamacje mijają bez echa. Ponadto nie nadchodzą w oznaczonym terminie, a co więcej, nieraz zamiast zapowiadanego nowego, wyświetlany jest film oglądany już kilkakrotnie przez mieszkańców. Mimo kilkakrotnie składanych zapotrzebowań kino w Wierzbicy nie otrzymało dotychczas gablotek, w których znalazłyby się fotosy tak przyciągające i zachęcające widzów.

DEN.

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Rec. Nacz 863-86 Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13.80 zł, półrocznie — 27.60 zł, rocznie — 55.20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA", Warszawa, ul Marszałkowska 3/5 4-B-19809